Cena 15 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok IV | Warszawa, dnia 4 maja 1947 r. | Nr 18 (127)

W numerze:
M. Jastrun
Sprawozdanie z podróży
*
K. Koźniewski
Trzy procesy
*
T. Peiper
»Marsylianka«

WSPOMNIENIE DRA RYSZARDA KUNICKIEGO O BRACIE STANISŁAWIE

Nie sądziłem, że go jeszcze zobaczę. A przecie miałem go odtąd widywać częściej niż kiedykolwiek dawniej. Każdej bowiem niedzieli i w święta odwiedzałem go w X Pawilonie na Cytadeli warszawskiej.

Pierwszy raz poszedłem z Zofią. Ustawili nas za wysoką i podwójną kratą. W przejściu między jedną a drugą chodził żandarm z bagnetem.

Po jakimś czasie wprowadzili Stacha. Starałem się zachować dzielnie—lecz nie potrafiłem. Opanować płacz, który ściskał mnie za gardło — i tego nie potrafiłem. Zachowałem się jak mały, słaby chłopak.

Wtedy podszedł do mnie strażnik i zapytał, dlaczego płaczę. Nie czekał na moją odpowiedź, chciał mi widać pomóc. Pociągnął mnie z sobą na korytarz, zapytał, czy nie mógłby coś zrobić dla mnie. Chciałbym — prosiłem — uścisnąć brata, zobaczyć go chociażby na krótko z bliska, bez tych krat. Przyrzekł, że spełni moją prośbę i kazał mi czekać pod drzwiami, przez które brata wyprowadzą.

Czekałem. Niedługo zresztą. Po chwili wyszła Zofia. I ona drżała na całym ciele. Patrzyłem w te drzwi. Wreszcie wyszedł strażnik, a za nim Stanisław.

Chwila, w której przygarnął mnie wtedy do siebie, była najkrótszą chwilą mego życia.

Z czasem się oswoiłem. Zacząłem ze Stachem rozmawiać przez kraty. Kilkanaście miesięcy tak z nim rozmawiałem w każdą niedzielę i święta.

Powiedział mi kiedyś, że nieraz podchodził pod moje gimnazjum w porze, gdy się spodziewał, że wyjdę ze szkoły. Chciał mnie zobaczyć bodaj z daleka. Znowu się źle zachowałem. Nie dokończyłem rozmowy i wybiegłem z sali.

Kiedyś znów prosił, żeby mu dostarczyć igły i włóczki. Upewniał, że tępe igły można dawać więźniom. — Co będziesz z nimi robił? spytałem. — Będę wyszywał na kanwie — uśmiechnął się do mnie. — Co będziesz wyszywał? — pytałem go zdziwiony. — Kwiaty — odpowiedział.

Przebieg procesu znaliśmy z gazet. Poza tym ojciec mój miał bilet, uprawniający go do wchodzenia na salę sądową. Wiedzieliśmy, o co oskarżają Stacha. Pomawiano go nie tylko o to, co istotnie uczynił, lecz o szereg spraw imputowanych mu bez uzasadnienia. Akt oskarżenia piętnował go jako bandytę, współpracującego z terrorystami „głodnymi krwi ludzkiej". Nadto przypisywano mu udział w zamachu na tramwajarza Skrzypczyńskiego, choć zamach ten był wykonany wówczas, gdy Stanisław siedział już w więzieniu. Dokładny opis procesu zachował się po dziś dzień w londyńskim czasopiśmie „Z Pola Walki". Ograniczę się zatem tylko do podania pewnych szczegółów dotyczących osoby Stacha, z odcinka moich osobistych przeżyć i doświadczeń.

Kiedy otrzymał owe przybory do wyszywania, rozmawialiśmy jeszcze nieraz o tych kwiatach. Widać przywiązywał do nich szczególną wagę. — Róże wyszywam, są bardzo piękne, zobaczysz. — Potem zamyślił się i dodał: — Jak je zobaczysz kiedyś, zwróć uwagę na napis, jaki wyszyłem pod nimi, i napis ten zapamiętaj. — Dobrze — odpowiedziałem, choć nie mogłem uwierzyć, że kiedyś ujrzę je naprawdę.

Te kwiaty na kanwie... Róże, wyszyte równymi krzyżykami w czasie gdy toczyła się rozprawa nad Stachem i jego towarzyszami, były tak w barwach dobrane i tak żywe, jakby w nich zamknął całą miłość życia i znalazł kształt widomy dla swojej tęsknoty. Pod nimi napis był krótki: Za wolność i lud.

Róże te zachowałem do niedawna. Nie straciły nigdy swej barwy. Spaliły się razem z jego listami w czasie powstania Warszawy.

Wtedy już zauważyłem, że włosy Stanisława stały się dwukolorowe. Same go oskarżały. Tak dziwnie się układały, że ciemniały od czoła, a góra pozostała jasna i gorętsza w barwie. Taki mi pozostał w pamięci.

Stanisława bronił Charitonow. Jego mowa, obniżająca wartość czynu rewolucyjnego i dyskwalifikująca ideę, jaką Stanisław wyznawał, budziła odrazę w podsądnym. W czasie jednej z moich wizyt u Stacha brat mój wydał mi się czymś szczególnie podenerwowany. Z jego rozmowy z Zofią dowiedziałem się, że oburzony jest na swego obrońcę. Skarżył się wtedy, że Charitonow poniża jego godność człowieka i rewolucjonisty i czyni to w sposób wysoce uwłaczający jego honorowi. — Po co to robi? — wybuchnął w końcu.

W jakiś czas później Stanisław w ostatnim swoim przemówieniu sam po swojemu się „obronił". Przemówienie to brzmiało, jak następuje:

„Pozwólcie mi, sędziowie, w ostatnim moim przemówieniu oczyścić siebie z błota, którym obrzucili mnie prokuratorowie, a nawet niektórzy z obrońców. Przedstawiono mnie jako człowieka łaknącego krwi ludzkiej. Według oskarżycieli wszędzie, gdzie tylko się pojawiłem, tam się lała lub też polać się musiała krew ludzka. Przekonania moje uznano za szkodliwe dla społeczeństwa, postępki moje za zbrodnie. Żeby jeszcze więcej wpłynąć na was, sędziowie, prokuratura podkreślała fakt mojej zupełnej solidarności z Narodną Wolą.

Tak, jestem solidarny z Narodną Wolą, byłem członkiem tej partii, podpisuję się pod wszystkim, czego ona dokonała. To nie zbrodnia ale spełnienie świętego obowiązku. Cała moja wina to miłość dla ludu, za uwolnienie którego gotów jestem do ostatniej kropli przelać krew swoją. Konieczność zmusiła nas do wejścia na drogę terroryzmu. Weźcie od nas takich ludzi, jak Jankulio i Białanowski, którzy ciałem ludzkim frymarczą, zaprzestańcie nieludzkiego prześladowania, a wtedy walka sama przez się przyjmie mniej ostry charakter.

Słyszycie płacz i łkanie, rozlegające się wśród publiczności? To krewni nasi, ojcowie, matki i żony. Ich spytajcie, a z tego, co powiedzą, osądźcie, czy oni nas uważają za zbrodniarzy. Sądzić nas możecie, możecie i skazać. Umrzemy w poczuciu spełnionego obowiązku".

Czekaliśmy teraz wyroku. Zsyłka na Sybir, katorga? Lat 10, a może i więcej? Lecz nigdy nie przyszedł na myśl ten wyrok, którym go miano zasądzić.

Wiedzieliśmy bowiem, że prawo rosyjskie stosuje karę śmierci tylko wówczas, gdy ogłoszono stan wyjątkowy. O tym, że teraz było tak istotnie, nie wiedziałem wówczas, jak nie wiedziała i matka. Widocznie ukrywano przed nią, że został wówczas ogłoszony stan wyjątkowy.

W dniu 20 grudnia zapadł wyrok. Sześciu proletariatczyków zasądzono na karę śmierci przez powieszenie. Piotra Bardowskiego — sędziego pokoju, Jana Pietrusińskiego — tkacza ze Zgierza, Józefa Szmausa — ślusarza, dwóch wojskowych Lurie i Igelstroma oraz naszego Stacha.

Widywałem go jeszcze i teraz. Nawet bliżej i dłużej z nim mogłem rozmawiać. Po ogłoszeniu wyroku skazani mieli większą swobodę ruchów, wolno nam było rozmawiać z nimi bez krat.

Przysługiwało im prawo łaski i odwołania się o nie do cara. Wskutek prośby wniesionej przez Igelstroma i Lurie, obaj wojskowi zostali ułaskawieni i karę śmierci zamieniono im na zsyłkę na Sybir.

Stach nie skorzystał z prawa łaski. Mimo łez i zaklęć naszej matki — nie chciał.

Od czasu ogłoszenia wyroku do jego wykonania minęło długich 40 dni i nocy. Nie traciliśmy jeszcze nadziei jakkolwiek zupełnie nieuzasadnionej.

Siadywałem odtąd przy nim podczas moich wizyt. W tych chwilach nie mogłem nie myśleć o tym, że patrzy jeszcze żywymi oczyma i mówi jeszcze żywymi słowami. W tok takich rozmyślań wpadały jego opowiadania. Mówił głosem spokojnym, równym i pogodnym. Wtedy mi właśnie opowiedział o myszkach, które chował w celi i tak wytresował, że tańczą, gdy im zagwiżdże. Kiedyś znowu pokazywał mi części zegara i opowiadał, że konstruuje go razem z towarzyszami. Miewał też wówczas wykłady dla swoich towarzyszy skazanych na zsyłkę, gdyż wolno im się było z nim komunikować. Jeszcze teraz pouczał, dawał wiadomości z zakresu techniki konspiracyjnej, jakie sam zdobył swoim doświadczeniem.

Twardy był. Mimo łagodności i spokoju, a może właśnie przez ten spokój i łagodność, wydał mi się jakiś pozaludzki, stawał się nieuchwytny.

Nigdy się z nami nie żegnał we właściwym tego słowa znaczeniu. Nigdy nie przekazywał niczego, mówił o życiu tak, jakby trwać miało długo także i dla niego. Było to tak sugestywne, że i ja mimo woli tak z nim rozmawiałem. Obcując z nim, nie mogłem w tę śmierć nadchodzącą uwierzyć.

W owym dniu, kiedy w nią wreszcie uwierzyć musiałem, wróciłem do domu z miasta i wyczułem jakąś odmienność w pustce naszego mieszkania. Dopadłem drzwi wiodących do pokoju matki. Były zamknięte. Pierwszy raz w życiu te drzwi były przede mną zamknięte.

Na zwykłym miejscu przy stoliku matki w salonie leżał wczorajszy Kurier. Przynoszono go co dzień. Mimo woli zacząłem szukać Kuriera z dnia bieżącego. Nie znalazłem go. Ktoś widać go schował.

Wypadłem na ulicę i kupiłem gazetę. Wtedy się dowiedziałem. Tak właśnie, z gazety. Nikt z nas nie potrafił tej wieści oznajmić drugiemu.

Pewnego dnia zastukał do nas jakiś nieznany nam ksiądz i wręczył ojcu list Stacha ostatni. List zaczynał się od słów: „Najdrożsi, dziś dowiedziałem się, że jest to ostatni dzień mego życia. Nie odczuwam lęku..."

Dalszych słów nie pamiętam. Utkwiła mi jednak w pamięci jego treść ogólna. Był wypełniony miłością dla matki, ojca i dla nas. Był prosty i jeszcze w ostatnich słowach nam wyjaśniał, że życie bez watki o sprawy, które ukochał, nie przedstawiałoby dla niego tej wartości, która go jeszcze teraz krzepi. Prosił o wybaczenie wszystkich cierpień, jakich był przyczyną, na koniec dziękował losom, że przeżył życie swoje nie na darmo.

Na stokach Cytadeli stanęły cztery szubienice. W mroźny, grudniowy świt zawisło na nich czterech proletariatczyków: Piotr Bardowski, Jan Pietrusiński, Ossowski i Stanisław Kunicki.

opracowała **Jadwiga Gorzycka**

W NAJBLIŻSZYM NUMERZE PODAMY SKŁAD JURY I WYSOKOŚĆ TEGOROCZNEJ NAGRODY LITERACKIEJ „ODRODZENIA"

KONKURS LITERACKI „ODRODZENIA"

na temat

MIASTECZKO POLSKIE ROKU 1947

Rodzaj literacki: powieść lub fragment powieściowy, opowiadanie, utwór sceniczny lub jego fragment, reportaż, essay.

Termin nadsyłania prac: do 1 października b. r.

Nagrody

1 NAGRODA	zł 60 000
3 NAGRODY	po zł 30 000
5 NAGRÓD	po zł 10 000

OGÓLNA SUMA NAGRÓD WYNOSI 200 000 zł.

Prace już opublikowane nie będą uwzględniane.

Skład jury zostanie podany później. Jury ma prawo łączyć nagrody lub zmieniać ich wysokość.

Redakcja zastrzega sobie prawo pierwodruku nadsyłanych prac, jak również prawo drukowania ich przed zamknięciem konkursu.

Maszynopisy, ewentualnie rękopisy wyraźnie pisane, zaopatrzone nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku z podaniem nazwiska i adresu w zamkniętej kopercie) należy kierować na adres redakcji „Odrodzenia", Warszawa, ul. Daszyńskiego 14.

*

W ZWIĄZKU Z KONKURSEM

Ogłaszając konkurs na temat: „Miasteczko polskie roku 1947" powodowaliśmy się następującymi względami:

1) Uwaga naszej literatury, naszej prasy i opinii publicznej skupia się prawie wyłącznie na kilku największych miastach i na zagadnieniach wsi. Tymczasem mniejsze miasta i miasteczka, w których żyją i pracują miliony Polaków, które uległy i ulegają przemianom nie mniej zasadniczym niż inne ośrodki, a może i bardziej widocznym — wypadły całkowicie z pola widzenia. Na mapach naszej współczesnej literatury miasteczko stanowi białą plamę.

Osobne przy tym i doniosłe zagadnienie — to nowe miasteczka na Ziemiach Odzyskanych. Zjawisko niepowtarzalne, temat jedyny w swoim rodzaju! Miasta i miasteczka, gdzie w naszych oczach z najodrębniejszych elementów, jednostek i grup formuje się nowa społeczność. Cały ten rewelacyjny dla badacza i pasjonujący dla pisarza proces, który z dnia na dzień zmienia niepowtarzalnie, kalejdoskopowo swój układ, pozostaje nie utrwalony żadnym opisem.

2) Wołanie o realizm nie jest wymysłem „Kuźnicy". Odpowiada ono niewątpliwie istotnej potrzebie, naturalnym zainteresowaniom społeczeństwa, które wyrwane ze swego obyczaju, zakłócone w swojej samowiedzy, potraciwszy dawne mity i odnawiając się w odmienionej postaci — chciałoby się w literaturze przejrzeć dosłownie jak w lustrze. Otóż dotychczasowe próby takiego realizmu, podjęte przez naszych pisarzy, na ogół wydają się chybione. I na ogół chybiać muszą, ponieważ rozwój literatury europejskiej za daleko poszedł w zupełnie innym kierunku, odbiegającym coraz bardziej od drogi realizmu; cały aparat środków, cała zawodowa wiedza literacka, której i nasz pisarz na ogół nie jest w stanie poniechać, nieuchronnie go od realizmu oddala.

W każdym razie, choćby się nie przyjęło tej tezy, nie jest ryzykowne stwierdzenie, że realizm w potocznym tego słowa znaczeniu jest bardziej dostępny dla niepisarzy, dla outsiderów. Zaś miasteczko, którego wewnętrzna struktura leży niejako na wierzchu, którego przemiany uwidoczniają się natychmiast w realiach, jest tematem szczególnie stosownym dla prób takiego realizmu.

Nie znaczy to jednak, że od udziału w konkursie wyłączeni są zawodowi literaci. Ani — że uwzględnione będą tylko utwory faktograficzne, reportażowe czy też tylko — choćby w najszerszym znaczeniu — realistyczne. Wyobrażamy sobie bowiem, że można nakreślić wierny i literacko przekonywający obraz miasteczka również pismem ekspresjonistycznym czy symbolicznym. W przeświadczeniu zatem, że literatura nie może być jednokierunkowa, nie stawiamy konkursantom żadnych ograniczeń formalnych.

3) Jednym z najważniejszych zadań pisma literackiego jest wyławianie talentów. Wydaje się, że temat miasteczka jest i pod tym względem szczególnie stosowny, nie tylko dlatego, że miasteczko z dawien dawna zasilało literaturę tęgimi piórami, ale przede wszystkim, że w miasteczku wytwarza się — zwłaszcza u ludzi młodych, jeszcze niezasiedziałych — ta suma zahamowań życiowych, gorycz resentymentu, nerw nieufnej obserwacji i ten jątrzący ładunek buntu, który był sprawcą tylu wybornych debiutów i tylu świetnych karier.

I jeszcze — na zakończenie: nie podajemy recept, nie powołujemy się na żadne wzory, w które obfituje literatura o interesującej nas tematyce, i nasza, i światowa. Idzie nam właśnie o to, aby nasz konkursant nie ulegał wzorom, aby uniknął szablonu, czy to ma być szablon realistycznej kalkomanii czy szablon psychoanalitycznej deformacji.

Idzie o to, aby patrzał na dzisiejsze, polskie, konkretne, autentyczne miasteczko (roku pańskiego 1947) własnymi oczyma, i by wiernie spisał, co widzi.

Aleksander Wat

LUCJAN RUDNICKI

ZARAZA W SULEJOWIE

FRAGMENT

OD REDAKCJI

Drukując fragment poniższy przypominamy autora, który stojąc na uboczu od tzw. w swoim czasie literatury proletariackiej, poprzedzał ją swoimi pracami, był jej pionierem na naszym gruncie. Ur. w r. 1882, Lucjan Rudnicki, robotnik fabryczny, samouk, brał żywy udział w ruchu robotniczym pierwszych dziesięcioleci XX w., początkowo w PPS, później w SDKP i L. Przed dwudziestu kilku laty wydał powieść „Odrodzenie" i zbiór opowiadań „Republika demokratyczna". Obecnie wrócił do pracy literackiej.

Najpierw ni z tego ni z owego zapalił się u Żyda dach, a spaliło się pół miasta I tylko opieka świętego Floriana, patrona parafii, i Pilica uratowały resztę. Po prostu wypaliło się wszystko do rzeki, a dalej nie poszło, choć wszyscy po drugiej stronie powynosili, co mogli, i czekali na wyrok Boży z rezygnacją.

Nasz dom nie próżnował. Nawet okna i obrazy wyniesiono w bezpieczne miejsca, pod kościół. Tylko Matkę Boską Gidelską, sławną cudami, babka powiesiła na zewnętrznej frontowej ścianie, i gdy ogromna chmura dymu zawisła nad naszymi głowami, cała rodzina jednomyślnie klękła w pokorze i odmówiła głośno i wolno, jak przy konającym „Pod Twoją obronę", a następnie babka zaczęła odczytywać rytualnie ewangelię według św. Mateusza, co podnosiło grozę do wielkości sądu ostatecznego.

— Abraham zrodził Izaaka, a Izaak zrodził Jakuba, a Jakub zrodził Judę i braci jego...

Nie byłem jeszcze uświadomiony, kto kogo rodzi, ale wiedziałem, że kobiety chorują i w związku z tym przychodzą na świat dzieci. Nigdy na dziecko nie chorował ojciec, tylko zawsze matka. Dwa razy przed przyjściem młodszych braci była ona tak słaba, że z resztą młodszego rodzeństwa musiałem czekać na koniec zasłabnięcia u sąsiadów. A ostatni raz rodzicielka zasłabła w nocy i tak boleśnie wyrzekała na ojca, że się obudziłem. Ale tak samo niezrozumiałe były dla mnie narzekania matki, jak obecnie twierdzenie babki, że Jakub zrodził Judę. Wychodziło na to, że w czasach Starego Testamentu rodzili mężczyźni Jeżeli taka jest wola Boża, dlaczegożby nie.

Głos babki coraz bardziej się obniżał, i niezrozumiała historia brzmiała jak zaklęcie, jak egzorcyzmy. Byliśmy w środku Sodomy i Gomory, lecz wierzyliśmy, razem z babką, że nas Najświętsza Panna Gidelska i wszyscy święci uratują od zagłady. I oto w oczach naszych dokonywał się cud. Chmura pożogi wolniutko odchylała się ku wschodowi i w ciągu jednego pacierza było widoczne, że dzielnica koło kościoła ocaleje. Sąsiad Rzepkowski polewał dach domu wodą. Ale niewiele by mu to pomogło, bo jak się nie zna dnia ani godziny śmierci, tak nie uratuje dobytku, przeznaczonego na spalenie. Nieraz i studnia się spali.

Urządzenia przeciwpożarowe, owszem, były. Na każdym dachu budynku mieszkalnego leżała drabina, po której w „trymigi" można się było dostać do komina. Właściciele posesji obowiązani byli mieć: jedni bosaki, drudzy wiadra, ale zdawano sobie sprawę, że jeżeli św. Florian sprawy nie uratuje, to na nic wszelkie wysiłki.

Niedługo potem zima przyszła długa, mroźna i bardzo śnieżna. Od razu było widać, że to zima-znak. Wróble spadały spod okapów; dzwońce, odważnie jak muchy, wdzierały się do obór; wrony, kruki i sroki gospodarowały po dziedzińcach bez żadnej ostrożności; woda w Pilicy uciekła głęboko pod grubą tafle lodu, a dachy, trzaskając wieczorami, bardziej niepokojąco nastrajały domowników niż opowiadanie o zmorach, strzygach i Asmodeuszu. Bo przecie nie wiadomo, czy trzaski dają znać o czymś, co się ma zaraz lub wkrótce wydarzyć, czy też zwiastują nieszczęście w dalszej przyszłości.

— Pamiętam jak dziś — mówi wróżebnym głosem babka — w tym samym miejscu siedziałam. Ojciec wasz, świeć Panie nad duszą jego, zdrzemnął się nieoczekiwanie. Wtem jakby prętem uderzył: zabrzęczały szyby i stuknęło coś jakby kostką w łóżku. Zerwałam się na równe nogi. Świętej pamięci ojciec wasz otworzył szeroko oczy, chciał coś powiedzieć i oddał ducha Bogu.

Zapanowała dłuższa cisza. Wszyscy przeżywali jeszcze raz śmierć dziadka i myśleli o nieznanych duchach, każde na swój sposób. Babka tak je znała jak litanię do Pana Jezusa. Dowodziła przykładami, że człowiek nigdy nie jest sam, a szczęście doczesne i zbawienie zależą od tego, jaki duch nad nim zapanuje. Anioł i diabeł wciąż walczą o ludzką duszę. Wprawdzie cnotliwym życiem i modlitwą można pomóc aniołowi, ale wystarczy cień grzesznej myśli, a przeważy diabeł. A czy może kto być pewny, że choć godzinę przeżyje niewinnie? Mimo to nie ustępowała szatanowi i nie bała się go. Walczyła i była po katolicku optymistką. Święcona woda, znak krzyża Pańskiego, strzeliste akty miłości i pokory ujęte w znane formuły przy każdym podejrzanym symptomie grzesznej myśli, i wreszcie wszystko to razem, stosowane naprzód profilaktycznie, było nie gorsze zapora przeciw złym duchom niż obecnie dla niektórych jej wnuków ciągłe mycie rąk i dezynfekujące środki przeciw złym drobnoustrojom. Miałem już dziesięć lat, służyłem do mszy i śpiewałem z organistą na nieszporach psalmy po łacinie, a wszelkich duchów bałem się jak zwykły barbarzyńca. Aniołów i diabłów mniej, ale dusze umarlaków wyciągały po mnie ręce w każdej ciemni. I teraz przy opowiadaniu babki odwracałem oczy od sędziwego kulawego łóżka z rzeźbionym nagłówkiem, spod którego wieczorami duchy zawsze jakieś znaki dawały. Było to łóżko unikat — łoże zmarłych męczenników rodzinnych. Członkowie kilku pokoleń na nim umierali i wszyscy z przeznaczenia Bożego. Nie byli starzy i mogli jeszcze długie lata żyć, ale zachorowali na śmierć i musieli odejść.

Ale wracajmy do „znaków". Zima przed rokiem cholery, zima — ostrzeżenie, zaciążyła mocno ludziom, a jeszcze bardziej jej następstwa: nieurodzaj i głód. Duże opady i przewlekła niska temperatura w ciągu wiosny spowodowały, że jeszcze w maju woda stała w bruzdach. Oziminy, mocno przerzedzone dużym mrozem przed opadami, obecnie wymokły i tylko grzbiety okrągłych zagonów wydały mizerny plon. Ciężkiemu jak zwykle przednówkowi wyszło na spotkanie beznadziejne lato, a po nim głodowa zima i klęskowy nowy przednówek. Kartofle, których normalnie dla większości starczało do nowych, z braku chleba zjedzono już w marcu. Starsze, doświadczone komornice wkrótce wykorzystały pokrzywy, lebiodę, a nawet perz, ale trzymorgowe obywatelki z obywatelek nie mogły się zdecydować na takie poniżenie. Mnożyły się natomiast wypadki kradzieży, których by się nikt nie spodziewał.

Tak jakoś wczesną wiosną gruchnęła wieść, że rząd kukurydzę sprowadza Przy współpracy wójta z naczelnikiem powiatu i przy pomocy proboszcza zawiązało się kółko dobroczynne, do którego i moja babka należała. Najbiedniejsi otrzymali po kilka funtów „kukurydzianej manny" bezpłatnie. Zamożniejsi mogli nabywać dowolne ilości po znacznie niższej cenie niż kaszę jaglaną a nawet pęczak. Nikt się jednak nie rwał po zakupy. Na zapytanie matki, jak tam z tą kukurydzą, babka odpowiedziała ruchem ręki, który wyrażał zupełne lekceważenie. Nie ma się o co pytać, z rządowej kaszy zupy nie nagotuje. Mówiono następnie, że kukurydza w całym obejściu śmierdzi, że śmierdzą od niej spożywcy. Na Felka „Porcenele" wołano teraz: „Te, Kukurydza". Bieda szła do Sulejowa i okolicznych wsi nie krętymi polnymi ścieżkami, jak zwykle na przednówku, lecz waliła z rządową kaszą szerokim gościńcem. Widywano ją w postaci żebraczki w łachmanach, jak szła świtaniem o zmierzchu na przełaj przez sulejowskie zagajniki i błonia. Był to już znak karzącej ręki Bożej. I musiało to nastąpić, bo nieprawość ludzka przekraczała wszelkie prawidła uczciwego życia. Kobiety coraz powszechniej odrzucały naturalny chrześcijański strój głowy, piękny biały czepek z rurkowanymi koronkami, zawiązywany w kokardę pod brodą, i bezwstydnie szły do kościoła w heretyckich ubrankach i stroikach. Ze spowiedzią wielkanocną zwłóczono, zwłaszcza mężczyźni, do św. Jana i dłużej. Dorastająca młodzież chodziła do kościoła pod lipy, koło dzwonnicy, a zepsucie ogólne doszło do tego, że Ignac Kurzaj żył sobie na wiarę z Weronką tak samo bezpiecznie jak inni po sakramencie ślubu. Rozumieli to starsi ludzie. Poczucie winy i skruchy zataczało coraz szersze kręgi. W niedzielę na sumie podczas Podniesienia rozlegało się tak silne uwielbiające westchnienie, jakby padała w lesie stuletnia sosna, a „Święty Boże" brzmiało samooskarżeniem i błagalnym jękiem. Ludzie wierzyli, że nie sa jeszcze skazani, jako mieszkańcy Sodomy, i pokładali nadzieję w miłosierdziu Bożym.

Rzeczywiście zdawało się, że najgorsze przechodzi. Wiosna 1894 roku była przeokropna i ciepła. Już w kwietniu rozkrzewiły się bujnie oziminy, zazieleniały soczyście łąki, miedze, drogi polne i okoliczne nieużytki. W porę, bo przy zupełnym wyczerpaniu paszy, ten i ów ostatnią żywą skórę na targu marnował. Przybyło mleka, a wezbrana Pilica przyniosła sporo szczupaków, okoni, a przede wszystkim obfitość bieli i kiełbi.

— Ryba — ochyba, lepsza chleba skiba — mawiano. Ale gdy chleba brakło, sznur złowionego na wędkę drobiazgu niejedną rodzinę w głodzie pokrzepił. Wkrótce pojawiły się kolejno: maślaki, grzyby, poziomki. Ludność poweselała. Widoczne się stawało: „kogo Panbóg stworzy, tego głodem nie umorzy". Falujące łany płowego żyta i złotawej pszenicy zapowiadały bogaty urodzaj. Tymczasem gospodynie oczyszczały jęczmienie, owsy, okopowizny z chwastu i karmiły nim obficie dobytek, ocalały w głodowej zimie. Na św. Jana kwitły już amerykany. Jeszcze tydzień, a będą utęsknione kartofle, jeszcze miesiąc, a matki otoczone kołem głodnych dzieci będą znaczyły krzyżem świętym pierwszy bochenek gorącego chleba przed rozkrajaniem. Błogosławiona i uroczysta chwila Kto jej nie przeżył, nie zrozumie, dlaczego taką świętością dla rolnika jest każda okruszyna chleba. Jest to dar Boży i czci go się tak samo jak wszystkie rzeczy poświęcone i święte.

Otóż w tym roku 1894, tak bogatym w nadzieje, w końcu czerwca zaczęło się dziać coś niezrozumiałego. Były to zresztą już nie znaki i ostrzeżenia, lecz ciosy, wywołujące trwogę. Oto taki Marcel Pietrusiński pojechał do Piotrkowa na furmankę, a przyciągnęły go konie sinego i bez ducha w deskach. Zaraz po tym Lubieniaczka poszła po chwast w pole w dobrym zdrowiu, a znaleziono ją po południu już zimą w cudzej koniczynie. Jeszcze jej nie zdążono pochować, zmarły taką samą galopującą śmiercią obie dorastające córki Alwingierki... Jezus Maria! Ludziom ręce zaczęły opadać ze zgrozy. Aż tu gruchnęło, że w Przedborzu cholera. Teraz już każdy wiedział, co ma myśleć. Norbertka widziała nawet pięty „szterglego" Żyda, płynącego Pilicą. A miała ona dobre oczy: na pół staja odróżniała w lesie jadalne bedłki od trujących. W sprawę wdały się władze. Rozstawiono nad rzeką pikiety, zabraniające czerpania wody do użytku domowego. Babka, świadoma rzeczy z własnego przeżycia, a może tylko z opowiadań przodków, razem z innymi wpływowymi obywatelkami zajęła się zwalczaniem zarazy. Zwieziono z lasu kilka wozów jałowcu i palono go na rynku miejskim. Tuż koło paleniska podmurowano kocioł do herbaty. Piło ją chętnie, dopóki cukru nie zabrakło. Tak jakoś w tydzień po założeniu, kadzielnia jałowcowa razem z „cholerną arbatą" bez cukru) zniknęła z placu. Nie pomagała. Ludzie marli coraz gęściej i to nie tylko wyrobnicy, lecz przede wszystkim obywatelstwo. Ksiądz proboszcz Bisławski doradzał babce kieliszek dzięgielówki, ale ona wolała komunię, a po tym miętę.

Miałem wtedy dwanaście lat, pasałem gęsi i z tej racji kolegowałem z koniarzami na pastwisku. W godzinach południowych i wieczornych niańczyłem szóstego z rzędu brata lub, jeżeli go nie mogłem uspokoić, skrobałem kartofle. W niedziele zwalniano mnie od zwykłych południowych zajęć, abym mógł służyć do mszy na sumie. Była to dla mnie wielka uroczystość i jeszcze większy zaszczyt. Szczekałem łaciną jak płyta gramofonowa. Ksiądz nazywał mnie wnuczkiem i przepowiadał pobożną przyszłość. Z przyjemnością spełniałem rytualny obowiązek całowania go w wyciągniętą jak kopyść rękę. Był to naprawdę kochany ojciec duchowny: pozwalał łamać gałęzie na morwach, udawał, że nie widzi, gdy mu się zielone węgierki obrywało, a lekcje katechizmu w niedzielę przed nabożeństwem były przedstawieniem:

— No, powiedz no, ty, Wojtek, co się staje z duszą po śmierci. No cóż, nie wiesz, nie mówili ci jeszcze? No, śmiało... idzie do karczmy na wódkę.

Sąsiadka Kowalska z fioletowym nosem od okowity i anodyn dawała mnie swemu synowi Wickowi za przykład. Uważano mnie za niewinne dzieciątko, a ja upadłem pod ciężarem śmiertelnych grzechów. Wstydziłem się je księdzu dziadziowi powiedzieć, a tu cholera. Codziennie umiera kilkanaście osób. Przerażała mnie myśl bezdennego piekła w razie śmierci, ale obawa kompromitacji przeważała i nie dopuszczała do aktu pokuty. Uchwyciłem się nadziei, która przekształciła się wkrótce w pewność, że mnie Najświętsza Panienka, którą kochałem gorąco, ponad wszystkie ziemskie a nawet niebieskie cuda, ze śmiertelnymi grzechami na „tamten" świat nie puści. Gdy ksiądz mówił, interpretując ewangelię, że największym szczęściem dla zbawionych będzie oglądanie oblicza Bożego, przyjmowałem to z wyraźnym niedowierzaniem i pocieszałem się nadzieją, że tuż obok Stwórcy będzie nad gwiazdy Piękniejsza i nad słońce Jaśniejsza. Pana Jezusa czciłem i modliłem się do Niego, jako do Jej Syna, nie wiedząc jeszcze, że matkom przyjemnie gdy się ich dzieci chwali.

Swoją matkę kochałem miłością wmówioną i nakazaną. Zbyt zatruwała mi życie nakazami robót, których nie cierpiałem. Całe uczucie chłopięcej miłości i tęsknoty do życia bez „bawienia" bachorów i skrobania kartofli zogniskowało się przy Najpiękniejszej.

Co poważniejsze obywatelki pod przewodnictwem babki postanowiły błagać św. Barbarę o wstawiennictwo. Stara Czaplikowska dziwiła się nawet, jak to im diabeł rozumy zmącił, iż zaczęły od jałowca i dzięgielówki. Uradzono posłać dwoje niewinnych dzieci po kweście „Na wotywę do św. Barbary, o odwrócenie pomoru". Wybrano Manię Piekarską z przydomkiem Rujta, a na partnera do niej mnie. Babka, co prawda, pesymistycznie patrzyła na moją niewinność, ale nie było wyboru, więc zdała się na opatrzność Bożą. Gdy mnie zawiadomiono o posłannictwie, uciekłem pod most i dopiero kategoryczne nawoływania matki przez tubę z rąk i wyjaśnienia, że tu idzie o przebłaganie Pana Boga, przekonały mnie do misji.

Wstydziłem się chodzić z dziewczyną i nie patrzyłem ani na nią, ani na ludzi, obserwujących nas jak księdza po kolędzie. Zaraz na wstępie stało się widoczne, że na Manię nie mogę liczyć. Była zalękniona i niezdolna do wymówienia słowa. Więc krzepiąc się, urzędowo wchodziłem do mieszkań, chwaliłem Jezusa Chrystusa i trzymając kaszkiet z czerwanym daszkiem w rękach, recytowałem: „Na wotywę do św. Barbary, patronki od morowego powietrza".

Ludzie nie żałowali większego miedziaka, a tam gdzie byli chorzy, dawano po kilka, błogosławiąc nasze poselstwo. W kilku miejscach mieszkania były zamknięte na mur. Dopiero na mocne pukania i głośną zapowiedź, że idzie o św. patronkę, ukazywały się wystraszone obywatelki i wtykały nam trojaki mokrymi rękami. Leczono tam chorych własnymi sposobami w tajemnicy, unikając sanitariuszy i karbolu, których się bardziej bano niż cholery.

— Cholera — gadał rozkraczony sąsiad Matyśkiewicz — to taka sama śmierć jak inne. Wszystko w rękach Bożych. Ale przecie niejednemu Panbóg pogroził tylko chorobą. Pokrztusi się taki i wyzdrowieje, a jak te diabły sanitary dotkną się tylko do kogo i pokropią go swoją wodą, to już na pewno trup.

Rzeczywiście, nie było wypadku, żeby kto żywy barak choleryczny w Sulejowie opuścił. Wielu umierało, zanim ich donieśli. Ale i u siebie w domu tylko ze dwie osoby z chorujących ocalały, i to z zatwardziałych grzeszników, którzy latami całymi u spowiedzi nie byli. Bóg się ulitował.

Śmierć nie próżnowała. W końcu lipca spośród trzechtysięcznej ludności wywożono codziennie na choleryczne cmentarze koło dwudziestu chrześcijan i nie mniej żydów.

Pogrzebów starozakonnych nie było widać, bo większość ludności żydowskiej uciekła do pobliskiego lasu, gdzie też i cmentarz urządzono. Żydzi zresztą niechętnie się przyznawali, że ktoś ich bliski umierał Umarł to umarł, byle nie mówiono że na cholerę. Wyraz ten był wśród nich w czasie epidemii zakazany.

— Po co to mówić... — złościł się na mnie stary szewc, Dawid Markiewicz, spluwając.

Przypomniała mi się żywo ta scena w pierwszym roku wojny, gdym synowi Dawida, Berkowi, mówił o Hitlerze i jego zbrodniach.

— Po co o tym mówić. Niech przepadnie — powiedział z podobnym wyrazem obrzydzenia.

Zginął Berek razem z liczną i pracowitą rodziną za to, że kochał Stary Zakon i Sulejów.

Pogrzeby ludności chrześcijańskiej szerzyły cały dzień grozę sądu ostatecznego Co pół godziny gwałtowny i monotonny jęk wielkiego dzwonu, przeplatany arytmią średniego — odprowadzał na wieki wieków nowego skazańca i rzucał nową dawkę postrachu na cały podsądny padół sulejowski. W początku ksiądz proboszcz odprowadzał zwłoki zamożniejszych i zasłużonych obywateli osobiście, wkrótce jednak musiał wystarczyć każdemu bardzo rzadki pokropek przed kościołem na wozie, w drodze na cmentarz. Wbrew zwyczajowi orszaki stawały się coraz mniejsze. Ze suchych gardeł z wysiłkiem wychodziła pieśń. Często się zdarzało, że podtrzymywana tylko jednym — dwoma głosami — urywała się zupełnie, i ludzie kroczyli za wozem niemo, z opuszczonymi głowami jak potępieńcy. Był taki kondukt pogrzebowy trojga rodzeństwa, za którym tylko matka całą drogę recitatiwem śpiewała: „Ignacowiśta pomalowali, Weronce pomalowali, a Józia ma niepomalowane". Słuchając tego śpiewu, jedni mieli łzy w oczach, drudzy się głupkowato uśmiechali, a poniektórzy widząc, że złe starą Kmiecikowską opanowuje, żegnali się krzyżem świętym. Czasem tylko woźnica odwoził nieboszczyka z taką samą obojętnością, z jaką wywoził inne nieużytki.

Z początku, przed pokropieniem, ksiądz z organistą odśpiewywali krótkie egzekwie: „Żeby mu tam, żeby mu tam". Niebawem musiała wystarczyć krótka modlitwa, jednakowy dla wszystkich pokropek i jednakowo żałosne, jąkające się zawodzenie dzwonów: Olaboga! Olaboga! To wszystko, czym kościół żegnał na zawsze swych parafian, bo ksiądz proboszcz od początku epidemii ani z Panem Bogiem, ani z olejami świętymi do konających nie chodził. Był sam na dużej parafii. Wikary, „parobek", jak mówił, nie był mu w gospodarce kościelnej potrzebny. Ludność wypowiadała swą krzywdę z tego powodu bardzo nieśmiało. Przyjmowano i to jako dopust Boży, bo nie było lepszego księdza w całej okolicy. Targów o śluby, chrzciny, pogrzeby nie znano. Był przystępny i wyrozumiały dla wszystkich, był gospodarzem śród gospodarzy.

I oto, gdy pani cholera coraz bezwzględniej szafowała śmiercią („Norbertka" znowu pierwsza ją widziała. Szła na Sulejów przez Pilicę, cała w bieli, nie podkasawszy się nawet), gdy miasto tonęło w oparach karbolu, i każdy nie zapomniawszy się przy robocie czekał na swą kolejkę — w nocy, z poniedziałku na wtorek, „ciut ciut" przed świtaniem, zaczęły dzwony bić w jedną stronę, jak na gwałt pożarowy. Ale nikt obudzony oknem nie wyglądał. Wszyscy od razu wiedzieli, że to ksiądz umarł. Wszyscy to przewidywali.

Ten i ów, nie zmówiwszy pacierza, szedł na górę kościelną na plebanię, żeby go jeszcze raz zobaczyć. A jak wszedł do przedpokoju i zobaczył wszystkie drzwi na oścież rozwarte, wolał przedtem zobaczyć, jak też ksiądz mieszka. A bogactwa w pięciu pokojach leżało jak u Malangiewicza w Piotrkowie. Czy można było obojętnie patrzeć na to, nawet w czasie cholery? Przecie to i tak rząd zabierze, bo ksiądz rodziny nie ma. Więc ten i ów zaczął zabierać rządowi sprzed nosa, co się dało schować za pazuchę, w gacie, pod kapotę. Jeżeli kto później przyganiał, to tylko przez zazdrość, bo rządu nie powinno się oszczędzać.

Koło południa, nie zważając na cholerę, zjechały z Piotrkowa władze „kazny" i rzuciły się na resztki jak sępy na pobojowisko. Rzeczy szczególnie choleryczne, a były wśród nich bardzo cenne, jak mahoniowa komoda, szafki nocne, materace, dywany, obrusy, bielizna, oddano na spalenie. Pilnowałem właśnie gęsi na nieużytkach „Księżej Góry" i z wielkim zainteresowaniem przyglądałem się znoszeniu drogocenności do oddalonego podola. Z przykrością myślałem o takim marnotrawstwie i dziwiłem się, że nie układają stosu na wzgórzu, obok podola, gdzie rozłożono już słomę i gdzieby się wszystko lepiej paliło. Niebawem całą uwagę skoncentrowałem na fakcie niebywałym i niezrozumiałym dla mnie. Sanitariusze zaczęli zrzucać w słomę książki i gazety z obrazkami. Nie widziałem już nic więcej koło siebie. Zapomniałem o napomnieniach matki i o gęsiach, za co niedawno przecie boleśnie oberwałem. Co to będzie, czy rzeczywiście te piękne gazety mają spłonąć? A tu już z drugiej strony, poprzez dym bucha płomień. Dwóch rówieśników moich klaszcze w dłonie z radości, a ja nie mogę opanować wzruszenia. Łzy mi w oczach stanęły, a po chwili gotów byłem w oburzeniu gołymi rękami rozrzucać palenisko. Sposobność natychmiast nadeszła. Sanitariusze podpalili i odeszli w przekonaniu, że na papier nie trzeba dmuchać, żeby się palił. Tymczasem, gdy spłonęła słoma, leżąca z boków, ogień ślizgał się tylko po papierze, a paliły się jedynie luźno leżące karty. Szybkim ruchem ściągnąłem z wierzchu kilka foliałów, przytłumiłem nimi palącą się na brzegu słomę i chwyciłem oburącz tyle druków, ile mogłem jednorazowo podnieść. Właśnie jeden z sanitariuszy odwrócił się w stronę paleniska i ruszył ku mnie z krzykiem. Przyciskając do piersi skarb, tlący się brzegami, pobiegłem w pole.

Ale sprawa puścizny po księdzu proboszczu Bisławskim to rzecz drugorzędna. Nagadali się tylko ludziska o charakterze poszczególnych sąsiadów, naśmiali się przy tym głośno, mimo cholery i ponurych przepowiedni pokutników.

Rzecz zastanawiająca, umierali przeważnie pokutnicy i tchórze. Wesołków z wyparzonymi gębami i odważnych, pewnych siebie życiowo, zaraza omijała. Babka tłumaczyła to nieprzeniknioną dla ludzkiego sądu opatrznością Bożą. Bóg czeka na opamiętanie, nie chce zguby ani jednej duszy. Ksiądz nie powinien był umrzeć, bo grzeszył śmiertelnie nie chodząc z wiatykiem, ale z drugiej strony, ile to dusz poszło w ostateczną podróż bez oczyszczenia się z grzechów. Tam wszystko jest zważone i każdy wyrok jest sprawiedliwy, tylko ułomny człowiek pojąć tego nie może.

Zabrawszy jednak proboszcza, Pan Bóg łaskawiej spojrzał na Sulejów.

Jednocześnie prawie z przyjazdem przedstawicieli „kaznaczejstwa" władze duchowne przysłały słabowitego, ale mocnego duchem wikariusza, księdza Cwilinga. Ten szedł lub jechał z Panembogiem na każde zawołanie. Grzeszne to słowa, ale ludność adorowała na ulicy padaniem na kolana Najświętszy Sakrament i księdza bohatera w jednakowej mierze. Już przejechał, już dzwonka nie słychać, a wierni w dalszym ciągu na klęczkach towarzyszą mu wzrokiem.

Sulejów głębiej odetchnął. Było się na czym oprzeć. Opatrzność dała się odczuć.

„On mnie też nawiaduje, wie
czego mi potrzeba,
Najwyższy Pan z wysokiego
nieba".

Rzeczywiście, od przyjazdu księdza Cwilinga cholera zwolna ustępowała. Coraz rzadziej dzwony alarmowały i tak coś we wrześniu zaraza zupełnie zanikła. Nawet żydzi nie umierali.

Cholera przestraszyła się dobrego księdza Cwilinga, popłynęła Pilicą na Nowe Miasto i utonęła w Wiśle. Sulejów zakupywał solenne nabożeństwa żałobne z katafalkiem, świecami i smażącymi się w maśle knotami, śpiewał w niedzielę dziękczynnie „Upadajmy na twarzy... i pozostał po staremu jednym z najszczęśliwszych osiedli na kuli ziemskiej. Było, co prawda, trochę ludzi zachłannych, nieustannie pracujących i gromadzących dobra, które bardzo łatwo niszczy ogień i woda. Byli zapracowani nieszczęśliwcy, pozostający wyraźnie bez opieki Bożej, którym co rok nowa para koni padała. Niektórym nawet „dróżka" do Częstochowy niewiele pomogła. Ale ogromna większość obywateli i obywatelek miejskich wiodła cały rok błogie i beztroskie życie, niezależnie od tego, jaką własnością rozporządzała.

W Sulejowie za „naszych czasów" ludzie czuli się tak, jak się będą czuć w przyszłym ustroju, kiedy każdy będzie miał wszystkiego według potrzeb. Tu potrzeby były mniejsze niż możność ich zaspokojenia. Ano, było trochę harówki przy sianiu, zbiorach i młocce, ale to przemijało, a później można było z rękami w oberwanych kieszeniach patrzeć na płynącą Pilicę lub na dziurawe dachy sąsiadów i rozkoszować się myślą, że własny jest o wiele lepszy.

A co to za przyjemność przesiedzieć sobie na ławce pod okapem lub nawet na progu domostwa całe pół dnia z rękami na „padołku", bezmyślnie, albo w miłej i zajmującej rozmowie: „Jaka to jest ta Warmuzińska".

Rzemieślnicy byli bardziej związani z warsztatami, ale i oni poza dniami targowymi chętnie gawędzili przy „jednym" lub biegli z wędką nad Pilicę. Żydowscy szewcy, krawcy, czapnicy i wszelkiego rodzaju handlarze pracowali po kilkanaście godzin na dobę. Za to każdy szabas tak uroczyście, radośnie i suto obchodzili jak u nas Wielkanoc. Przede wszystkim w piątek po zachodzie słońca szedł herold z drewnianym młotkiem i trzykrotnym uderzeniem w okiennice zapowiadał początek uroczystości. Chała, ciastka na oleju były gotowe już na południe. Teraz wykładano ryby na talerze z miedzianych rondli, darząc słodkim smakowitym zapachem cebuli całą dzielnicę. Za pół godziny, gdy zmrok zapadnie, każdą rodzina, pozostawiona sama sobie, odgrodzona od całego świata, z realną prawie obecnością Najwyższego, przy blasku kilkunastu świeczek, zacznie rytualnie spożywać obiad, głosząc radość istnienia majufesem.

Byłem i ja, mała kruszynka śród nich, po swojemu szczęśliwy. Byłem, jestem i będę — dopóki mi tylko oczy pozwolą patrzeć na wschody i zachody słońca a uszy słyszeć gwarzenie lasów. Zdobyłem zresztą doświadczalnie przekonanie, że wszelki człowiek: biedak i bogacz, optymista i pesymista, rozumny i matoł, pracowity i leń, w gorącej wodzie kąpany i lelum polelum, okrągły śmioszek i smukła powaga, przy wszelkim ustroju, dopóki nie zostanie złamany, jak przydrożne drzewko przez bezmyślnego furmana, słowem dopóki żyje i rozporządza choć jednym zdrowym zmysłem, jest dla siebie szczęśliwy. Oczywiście ilość i jakość zadowolenia zależne są od zdrowia i otoczenia.

Ale nie o to idzie. Doprawdy podobny jestem do starej Krochmalskiej. Im więcej gadam, tym dalej jestem od tematu. Tylko, ona wszystko od samego początku chciała opowiedzieć, a ja wciąż jestem przy końcu.

Lucjan Rudnicki

NOWOŚĆ!

4400 NAZWISK
ZMARŁYCH
POLEGŁYCH
ZAMĘCZONYCH
1939 — 1946

LISTA STRAT KULTURY POLSKIEJ

Zestawił prof. B. OLSZEWICZ
Cena zł. 400.
WYDAWNICTWO S. ARCTA,
Warszawa Nowy Świat 35. Katalog na żądanie.
k 154—1

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

TRZY PROCESY

W ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy odbyły się w Polsce trzy wielkie procesy niemieckich zbrodniarzy wojennych.

Proces Artura Greisera, b. gauleitera von Warthegau, który toczył się w czerwcu i lipcu roku ubiegłego w Poznaniu — był procesem politycznym ziem tak zwanych „wcielonych do Rzeszy", a ściślej Wielkopolski. Objął on całość życia społeczeństwa polskiego na tamtych ziemiach, jego trud, jego cierpienia.

Identyczny w stosunku do Generalnego Gubernatorstwa był proces Fischera i trzech jego towarzyszy. Wprawdzie formalnie dotyczył tylko dystryktu warszawskiego, ale faktycznie stanowił przykład wszystkich innych procesów tego rodzaju, tak jak rządy okupacyjne w Warszawie — były swego czasu wzorowym modelem rządów niemieckich w Generalnym Gubernatorstwie. Drobiazgowe analizy biegłych, jak i zeznania świadków w tym procesie ustaliły „prawdę materialną" o życiu człowieka pod okupacją.

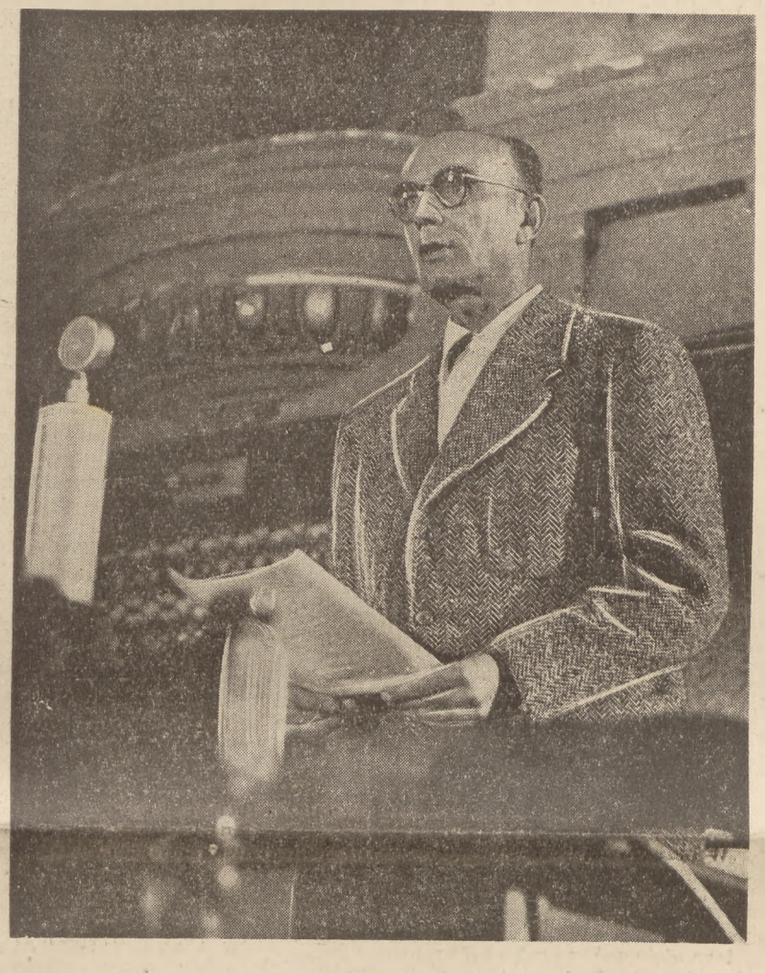

Artur Greiser

Trzeci — niedawno zakończony proces Franza Rudolfa Ferdinanda Hoessa, komendanta „Vernichtungslager Auschwitz", był procesem o bezpośrednią zbrodnię ludobójstwa w skali światowej. Badał on fundament rządów w krajach okupowanych, a szczególnie w Polsce. Systemy polityczne, jakimi kierowali Fischer i Greiser, były stworzone w istocie właśnie po to, by system morderstwa, na którego czele stał Hoess, mógł zabijać już nie ludzi, lecz ludy. „Warthegau" i „General-Gouvernement" pracowały dla „Auschwitz" — a nie na odwrót.

Poza schemat, wytyczony tymi trzema procesami: politycznym Wielkopolski, politycznym Warszawy i procesem fabryki śmierci w Oświęcimiu, żaden inny proces nie wyjdzie. Tam bowiem rozpatrzono szczyty systemu politycznego i zbrodniczego. Wszystko inne mieścić się już będzie w tych ramach.

Wolno wobec tego dokonać pewnego podsumowania.

PRAWO DO SĄDZENIA

Wszystkie trzy procesy opierają się na podstawie prawnej. Określił ją dokładnie prokurator Najwyższego Trybunału Narodowego, Jerzy Sawicki, w mowie oskarżycielskiej, zamykającej proces Greisera.

Umowa Narodów Zjednoczonych co do traktowania i karania zbrodniarzy wojennych, statut Międzynarodowego Trybunału Wojennego w Norymberdze, na koniec wyrok tego Trybunału stworzyły podstawę prawną dla wytoczenia procesów karnych obywatelom niemieckim, którzy byli urzędnikami i wykonawcami poleceń swego państwa i wskazówek swego zespołu politycznego. Dotychczas, do czasów drugiej wojny światowej, rozkaz władzy wyższej był gwarancją bezkarności dla wykonawcy, tym bardziej, gdy tą władzą było państwo. Za zbrodnie dokonane w służbie własnego państwa i własnego narodu zbrodniarz mógł wcale nie być odpowiedzialny. Jednostka za zabicie drugiej jednostki skazywana była na najcięższe kary. Zwierzchnik państwa i jego generałowie, którzy sprowokowali wojnę, a więc gigantyczne morderstwo, korzystali z bezkarności. Żołnierze i urzędnicy mogli grabić i mordować bez miary, gdyż wszystko pokrywała suwerenność państwa i rozkaz dowódcy. W epoce, która we wszystkich dziedzinach życia społecznego przechodzi ewolucję ku międzynarodowości i uniwersalizmowi, podobne stanowisko nie może być honorowane

Wobec tego dokonano „przebicia zasłony" suwerenności państwowej. Statut Trybunału w Norymberdze stwierdził, że istnieją pewne ogólnoludzkie zasady moralne. Te elementarne przepisy moralne, wypływające z przeświadczenia wspólnego wszystkim cywilizowanym narodom, są ponad prawami państw i nie mogą być gwałcone przez prawa i rozkazy państwowe. Prawo państwowe, jeżeli stoi w jawnej sprzeczności z ogólnoludzką moralnością, nie może stanowić ochrony dla jego realizatorów. Ludzie, którzy dobrowolnie wstąpili do zespołu, którego zbrodnicze cele były im znane, gdyż wynikały z jego ideologii, nie mogą powoływać się na rozkaz jako okoliczność łagodzącą, gdyż swego czasu dobrowolnie przyjęli na siebie obowiązek wykonywania go.

Ustalenie tych dwu zasad: jednej — że istnieją prawa wyższe niż państwowe i że państwo nie jest już najwyższym prawodawcą, oraz drugiej — że rozkaz władzy państwowej nie zapewnia obywatelowi bezkarności — jest kapitalnej wagi. Dziś zasada ta umożliwia karanie — a nie lynch! — zbrodniarzy niemieckich. W przyszłości, gdy się upowszechni, gdy przeniknie poczucie moralne szerokich mas narodowych i zreformuje odpowiednio kodeksy państwowe — może mieć i inne, większe znaczenie. Państwo agresywne tylko w 50% będzie mogło gwarantować bezkarność swoim obywatelom i żołnierzom. Tylko w wypadku zwycięstwa, a to jest zawsze sprawa niepewna.

To jest prawna podstawa procesów przeciw zbrodniarzom niemieckim w Polsce.

Jest jednak jeszcze i fundament ideowy. Prokurator Sawicki w mowie przeciw Greiserowi wypowiedział zdanie: „Tylko wtedy mamy prawo sądzenia działalności oskarżonego, jeśli jego światopoglądowi przeciwstawimy nasz odmienny światopogląd".

Prokuratura polska przeciwstawiła światopoglądowi hitlerowskiemu światopogląd narodu polskiego. Przyszło jej to tym łatwiej, że już przedtem zostało przemyślane przez cały naród polski, w ciągu długiej nocy okupacyjnej. Hitleryzm był ruchem antyhumanistycznym, gdyż człowiek został w tej filozofii pomniejszony do roli bezwolnego kółka w machinie zwanej Państwem, Narodem, Rasą. Faszyzm był ruchem, który — przeciwnie niż wszystkie inne kierunki myśli i działania ludzkiego — dążył do ustanowienia piramidy ludzkiej i narodowej nierówności, piramidy złożonej z „Herren- i Knechtenvolków". Wreszcie był to światopogląd, który nadał moc podziałowi ludzi według rasy, wyznania religijnego i politycznego. Ponadto faszyzm odrzucał wszelkie normy prawne dotychczas uznawane przez ludzkość i na ich miejsce wprowadził swoje specyficzne metody rządzenia masą. Opierały się one na dwu zasadach: wyniszczania i zastraszania.

Toteż naród nasz, sędziowie z mandatu narodu polskiego mieli moralne prawo osądzania zbrodniarzy hitlerowskich, gdyż światopoglądowi hitlerowskiemu potrafili przeciwstawić światopogląd humanistyczny: prawo przeciwstawili bezprawiu. Proces przeciwstawili terrorowi. A znalazło to swój najdobitniejszy wyraz choćby w tym, że adwokat polski, człowiek, którego niemiecka władza znaczyła swego czasu stygmatem niebieskiej gwiazdy Syjonu, potrafił tak uczciwie bronić z urzędu swego gestapowskiego klienta, że ten w ostatnim słowie publicznie stwierdził, iż żaden adwokat niemiecki nie zdobyłby się na tak rzetelną obronę swego wroga.

W tych słowach Meissingera — twórcy gestapo w Warszawie — zawarty został moralny i filozoficzny sens tych trzech procesów. Gdyż właśnie te słowa określiły ową zasadniczą różnicę światopoglądów, owo moralne prawo do sądzenia hitlerowskich zbrodniarzy.

PROCESY DZIĘSIĘCIU WIEKÓW

Między Polską a Niemcami różnie w dziejach bywało. Była już przed wiekami Polska we Wrocławiu i Polacy w Szczecinie; byli Niemcy w Krakowie i Warszawie. Lała się krew strumieniami. Były Psie Pola, Płowce i Grunwaldy. Zawierano umowy i prowadzono układy. Był pocałunek cesarski Ottona i hołd pruski Albrechta. Był traktat welawsko-bydgoski i akt tragiczny podpisany przez Wielkiego Fryderyka. Wielką Katarzynę i nie mniej wielką Marię Teresę. Był Kulturkampf, Września i wóz Drzymały. Nie raz jeden przed sądami niemieckimi stawał oskarżony Polak i ginął. Po raz pierwszy jednak w dziejach tych obu narodów przed polskim trybunałem odpowiadali urzędnicy Niemieckiej Rzeszy, Niemcy, za zbrodnie popełnione na naszym narodzie na rozkaz swego narodu. I choć w procesach tych mówi się tylko o dziejach ostatnich lat siedmiu — to jednak stają się one następnym — po zmianie granicy zachodniej Rzeczypospolitej — aktem dziejowej sprawiedliwości, która wymierza tu symboliczną karę nie tylko za Warthegau, distrikt Warschau i Auschwitz, ale za zbrodnię rozbiorów, za cały ciąg długiej historii, w której nieustannie niemieccy beamci i niemieccy sołdaci, jakkolwiek by się nazywali — cesarscy, brandenburscy, krzyżaccy czy sascy — na rozkaz własnego rządu, własnych wodzów, pełnili wobec nas tę złowieszczą misję historyczną, którą Adolf Hitler postępowaniem swym ukoronował i którą lapidarnie zamknął w dwóch słowach: „pan i parobek".

Nad trybunałami trzech procesów na biało - czerwonym tle wisiały polskie orły. Za oskarżonymi siedzieli polscy strażnicy, przed nimi — polscy obrońcy. Rozprawy odbywały się w polskim języku i wyroki zapadły na mocy polskich praw.

Po raz pierwszy między Niemcami a Polską stanął polski kodeks. I moc tego kodeksu nie została zakwestionowana przez żadnego z sześciu oskarżonych. Żaden z nich nie zaprotestował przeciw ważności naszych praw. Wszyscy oni przed autorytetem polskiego trybunału stawali na baczność.

W tym właśnie tkwi historyczne znaczenie tych trzech procesów w stosunkach obu narodów.

RÓŻNE BYŁY PROCESY

Każdy z trzech procesów był zupełnie odmienny.

Jerzy Zagórski nazwał proces Greisera — laboratorium naukowym. Określenie to jest trafne. Ponury półmrok starej uniwersyteckiej auli, dokąd nie dochodziło ożywcze światło jasnego dnia, sprzyjał beznamiętnemu rozważaniu ponurej sprawy Ziem Wcielonych. Tylko od czasu do czasu ogromne jupitery filmowe rozświetlały wysokie podium z zasiadającym tam sądem i obu stronami — co znów sprawiało wrażenie teatru. Atmosfera sali udzieliła się i głównym bohaterom przewodu. Wszyscy byli spokojni i jakby beznamiętni. Nawet oskarżony wydawał się potulnym zwierzakiem, który spokojnie i bezsilnie poddaje się wiwisekcji lekarskiej. Jego wyjaśnienia, jego obrona — były obszerne i drobiazgowe, ale beznamiętne. Obaj obrońcy oskarżonego — zadość swemu obowiązkowi czynili jedynie w granicach formalnych. Publiczność była spokojna i opanowana — nie reagowała żywiołowo na wyjaśnienia oskarżonego. Świadkowie i biegli mówili półgłosem. Jedynie prokurator wyróżniał się na tle ogólnej tonacji i swym żywiołowym temperamentem oskarżycielskim wprowadzał w tę ściszoną partyturę ostrzejsze i głośniejsze tony, ku jawnemu niezadowoleniu przewodniczącego Trybunału. To była atmosfera nauki — nauki o niemieckiej polityce germanizacyjnej i eksterminacyjnej w Wielkopolsce. Spokojnie i beznamiętnie badano fragmenty tamtych czasów. Ustalano stosunek Niemców do Polaków, Żydów, do duchowieństwa i do dzieci. Do ciała i do duszy. Ustalono, odmierzając nieledwie na gramy i sekundy, winę osobistą oskarżonego, winę jego jako członka systemu NSDAP, ustalono nawet i utrwalono w wyroku opinię, że osobiście był człowiekiem raczej łagodnym. Świadkowie polscy spośród jego służby osobistej wydali przed Trybunałem świadectwo pochlebne o jego zachowaniu się i ludzkim do nich stosunku. Trybunał podejmował każdy wątek oskarżenia — i w sposób powolny i systematyczny badał go i rozpracowywał. Atmosfera tego pierwszego procesu — była właśnie taka, jakiej nikt w tamtych ponurych czasach nie potrafił, nie mógłby sobie wyobrazić. Wydawać się mogło, iż ani członkowie Trybunału, ani prokuratorzy, ba! ani zespół co dzień zmieniającej się publiczności nie mógł osobiście mieć żadnej urazy do oskarżonego. Iż osobiste uczucia i jakakolwiek krzywda osobista były tu wyłączone. Że były tu tylko paragrafy i prawo, narodowe i międzynarodowe.

Zupełnie odmienny był proces następny — Ludwika Fischera, Ludwika Leista, Józefa Meissingera i Maxa Daumego. Był to proces, gdzie nastąpiło starcie temperamentów. Prokurator mógł w pełni dać upust swej namiętności. Dwóch spośród czterech oskarżonych — Fischer, eks-gubernator warszawskiego dystryktu i Meissinger, jeden z pierwszych komendantów policji niemieckiej w Warszawie — nie chciało łatwo poddać się karze. Bronili się zaciekle i niezwykle inteligentnie. Otrzymali adwokatów, którzy postanowili okazać gest obrończy. Swych niecodziennych — chwała Bogu! — klientów bronili gorliwie. Oskarżenie i tym razem nie ustępowało — i obaj prokuratorzy nacierali z temperamentem. Publiczność stołeczna nie miała w sobie spokoju publiczności poznańskiej. Zebrani w Poznaniu w dużym procencie swój wojenny żywot pędzili poza Wielkopolską, poza zasięgiem panowania Greisera. Tutaj ci wszyscy, co w ciągu dwumiesięcznego przewodu przewinęli się jako widzowie — mieli przynajmniej z Fischerem i Leistem osobiste porachunki, choćby za spalenie mieszkań. Warszawa przeżywała okupację żywiej i namiętniej niż Poznań. Polskość była tu mniej stłumiona niż w Wielkopolsce, ale też gdy żywiej wybuchała, gaszono ją większym strumieniem krwi. Warszawa nie potrafiła przysłuchiwać się spokojnie przewodowi. Śmiała się rozgłośnie — gdy oskarżeni mijali się z prawdą. Oklaskiwała prokuratorów. Szemrała — ze złością i z podziwem — gdy adwokaci za daleko posuwali się w swej ryzykanckiej obronie. Przez ogromne okna jasnej sali domu nauczycielstwa polskiego widać było kikuty ruin Powiśla. Nie było tu ani śladu beznamiętnej atmosfery nauki. Jasne słońce zalewało w dzień całą salę ostrym światłem, wieczorem czyniły to lampy zasilane prądem niedawno odbudowanej elektrowni — i w tym świetle wyraźnie toczyła się bezpardonowa z obu stron walka. Atmosfera sali była naładowana pasją i patosem. Udzielała się świadkom. Zeznawali donośnie i zbyt często zamieniali swoją świadkowską stallę w katedrę prokuratora. Przewodniczący Trybunału nie umiał, czy nie chciał rozładowywać i uspokajać atmosfery. To był gorący proces. Proces, w którym starły się dwie racje stanu, dwa narody — okupant i okupowany.

Proces komendanta Oświęcimia Rudolfa Hoessa, który — ostatni z tej serii — toczył się przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Warszawie, był jeszcze inny. Z paru nader istotnych powodów. Przedmiotem tamtych procesów były rządy niemieckie w Polsce i ich praktyka wobec dwóch narodów: polskiego i żydowskiego. Były to procesy między Polską a Niemcami. Tutaj przedmiot uległ rozszerzeniu. Sprawa — „Vernichtungslager Auschwitz" — to sprawa międzynarodowa. Nie było narodu europejskiego, którego przedstawiciele nie ginęliby w komorach gazowych, nie byli paleni w krematoriach, nie byli rozstrzeliwani w oświęcimskich egzekucjach. Wszystkie niemal że narody okupowane przysłały na rozprawę swych świadków, którzy z wstrząsającą monotonią i makabryczną jednomyślnością opisywali przeraźliwe i wymyślne tortury systemu i oprawców w „Auschwitz". Przy stołach

Rudolf Hoess

sprawozdawców prasowych codziennie zasiadali tłumnie dziennikarze zagraniczni — francuscy, szwedzcy, rosyjscy, amerykańscy. Tego nie było na żadnym z procesów poprzednich.

W procesach niemieckich zbrodniarzy wojennych niesłychanie trudno jest przeprowadzić linię demarkacyjną między przestępstwem typu politycznego a zbrodnią pospolitą. Hitleryzm ze zbrodni pospolitej uczynił przecież integralne narzędzie swej polityki. W Norymberdze, pierwszej i każdej następnej, w procesach Greisera i Fischera nieustannie schodzono w mroki zbrodni pospolitej. Tam jednak oskarżeni przerzucali cały ciężar zbrodni — kradzieży i morderstw — na jakoby niezależne od nich SS, na gestapo, na maszynerię Himmlera. W procesie Oświęcimia już bezpośrednio zetknęliśmy się ze zbrodnią. Oświęcim zależał bezpośrednio od Himmlera. Hoess był faktycznym oficerem SS — i nie zapierał się tego jak Meissinger. W „Auschwitz" nie prowadzono już polityki, nie dzielono ludności na klasy, nie wydawano kartek żywnościowych, nie łudzono mowami, nie straszono groźbami — tu już tylko i wyłącznie niszczono i mordowano. To był jedyny cel i sens istnienia obozu w Auschwitz. W tym procesie zeszło się na dno piekła — na dno zbrodni pospolitej.

Wreszcie trzecia różnica. Tamte procesy toczyły się w aureoli wielkich słów. Wprawdzie i tam ustalano cyfry zamordowanych, deportowanych, była mowa o ghetcie i zgliszczach — ale oskarżeni, ludzie inteligentni — przemawiali niekiedy z patosem, gładko mówili o racji stanu, o przyjaznych uczuciach, o historii, ba! Greiser deklamował nawet o odwiecznej polskości ziemi Wielkopolskiej. Patosem może dźwięczeć wiersz o Oświęcimiu, można przepoić nim literackie dzieło o tym obozie straceń — ale w procesie „Vernichtungslager Auschwitz" na patos miejsca nie było. Tu mówiło się oszczędnym i precyzyjnym językiem fachowców. Fachowców od wielokrotnego umierania — jakimi byli świadkowie, którzy przeżyli Oświęcim, i językiem fachowca od masowego uśmiercania — jakim był Franz Rudolf Ferdinand Hoess. Na ten proces nie trzeba było jak na inne wzywać biegłych w zakresie filozofii, gospodarki, przemysłu, polityki populacyjnej, prawa międzynarodowego.

Gdy w procesie poznańskim w sposób naukowy ustalano zbrodnię niemiecką — tutaj odkryta została nowa nauka niemiecka. Nauka o zadawaniu śmierci, równie poważnie w Trzeciej Rzeszy traktowana, jak socjologia, historia czy geografia. Może nawet poważniej, solidniej, uczciwiej. Niemieccy uczeni obliczyli stopień łatwości palenia się ciała ludzkiego i wobec tego nauczyli prostych SS-manów, że w krematoriach należy ciała kobiece przekładać ciałami męskimi. By stos płonął żwawiej. Arytmetycy niemieccy dokładnie obliczali pojemność wagonów bydlęcych, przelotowość torów stacji Auschwitz, pakowność pieców i komór gazowych. Fizycy niemieccy wykoncypowali doskonałe aparaty do gazowania, chemicy wynaleźli „cyklon", a psychologowie i biologowie razem wykryli, jakimi metodami należy traktować uwięzionych, by doszli do stanu prostracji fizycznej i psychicznej. I naukę o tym, znakomicie usystematyzowaną, wykładano na specjalnych kursach, na których kształcono ludzi w fachu „zadawaczy śmierci". Nauka ta miała z czasem doprowadzić praktykę do takiej doskonałości, żeby w komorach Oświęcimia można było gazować bez trudu 200.000 ludzi dziennie.

Zdanie sobie sprawy z istnienia tego rodzaju dyscypliny, obserwacja człowieka spokojnego i pozornie normalnego, który był w takiej technice uznanym i dekorowanym arcymistrzem, świadomość, że mówi się stale o trzech milionach trupów — sprawiały, iż atmosfera procesu była twarda, ponura i niesamowita. To już nie było laboratorium naukowe, nie była arena starcia się różnych sił i temperamentów — to było lustro, w którym odbijała się apokaliptyczna wizja. A była nią — międzynarodówka milionów trupów.

Zgrzytliwym, niepoważnym dysonansem tego procesu, zakłóceniem jego powagi, była niesmaczna propaganda pornograficzno-sadystycznych obrazków oświęcimskich, jakich sprzedażą, nie wiadomo dlaczego, zajmował się kiosk urządzony przez Związek b. Więźniów Politycznych. Na przyszłość pod żadnym pozorem nie wolno łączyć miejsca wymiaru sprawiedliwości z prywatnymi imprezami domorosłych propagandzistów.

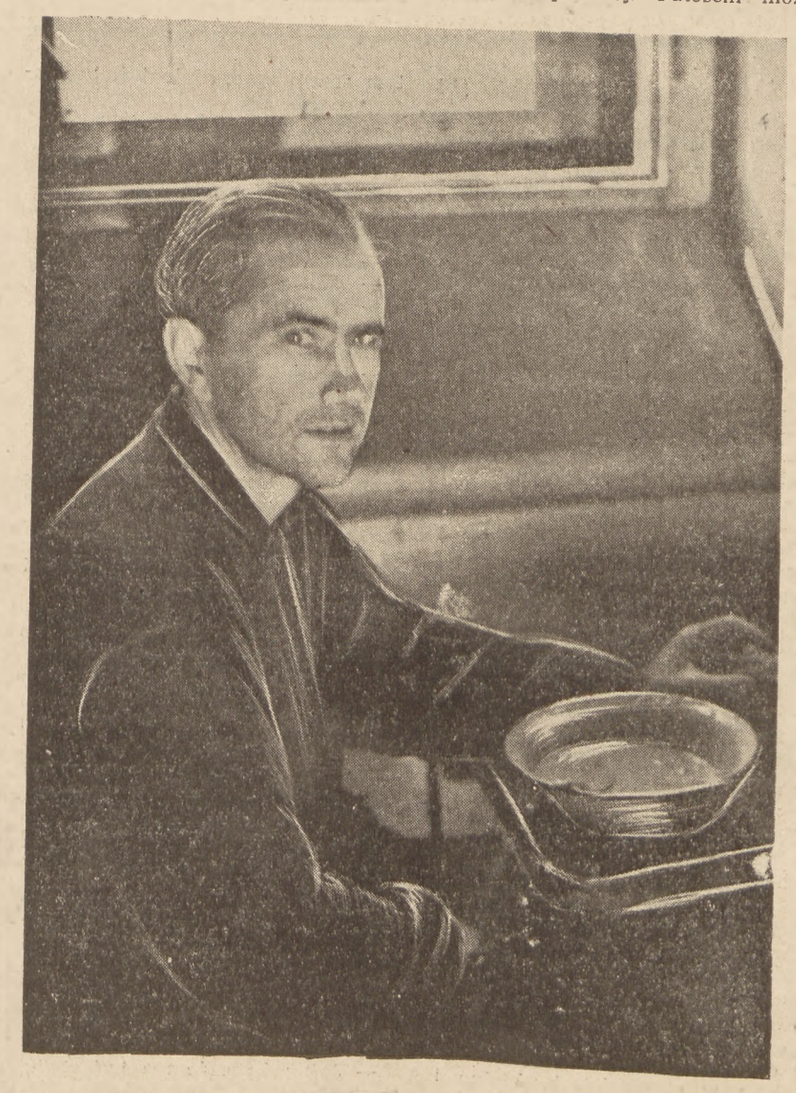

Ludwik Fischer

SKOK Z WODY

Każdy prawdopodobnie widział kiedyś zabawną sztuczkę filmową, która polega na tym, że na ekranie wyświetla się film odwrotnie i w zwolnionym tempie. Widać wtedy wyraźnie każdy ruch człowieka, który przy normalnym wyświetlaniu uchodzi naszej uwagi, tak jak na ogół uchodzi jej w życiu. Często pokazują wtedy fragment skoku do wody z trampoliny; wychodzi on jak skok z wody do góry. Ciało wynurza się na powierzchnię, powoli unosi się, przekłada ręce znad głowy do boków.

wykonuje dziwne koziołki w powietrzu, kurczy i prostuje nogi — by w końcu czubkiem stopy dotknąć kantu trampoliny, półkolistym ruchem wyprostować się, i szybkim, zgrabnym, w tym wypadku śmiesznym, krokiem odbiec do tyłu.

Otóż przysłuchiwanie się procesom sprawia właśnie wrażenie oglądania takiego filmu odkręcanego powoli. Znamy już finał całej historii. Powtórnie oglądamy ją, już niejako od końca, badamy od rezultatów do pobudek. Badamy nader powoli. Biegli w spokojnych na ogół słowach ustalają ogólne wytyczne filozofii i polityki okupanta, przeprowadzają pewne niezbite dowody logiczne, podsumowania, które oskarżonych bardziej deprymują niż chaotyczne często i trudne do sprawdzenia, łatwe do podważenia — zeznania świadków. Ci opisują znów fragmenty okupacji, poszczególnych ludzi, pojedyncze zdarzenia. Krzyżowy ogień pytań prokuratorów i obrońców ustala różne elementy tego, co sądownicy określają mianem „prawdy materialnej". Cała okupacja zostaje tutaj rozłożona jakby na atomy, spreparowana na cząsteczki. W mozolnym trudzie ustala się dokładnie ilość zamordowanych — i ze śmiertelną powagą rozpatruje argumenty pro i contra tezom o trzech i pół, trzech czy tylko dwóch milionach zamordowanych w Oświęcimiu. Ustala się dokładnie, czy Meissinger podpisywał przepustki w gestapo w swoim własnym imieniu, czy w imieniu swego szefa. Bada się, ile gramów chleba dostawali na kartki Żydzi w ghetcie w roku 1941 a ile w 1943. Jednakim tonem referuje się sprawę Majdanka i Treblinki — i ustala zbożną chęć Fischera odbudowania Filharmonii w stolicy tego dystryktu. Zamiast strachu matek, bólu ojców, nędzy narodów prześladowanych, zamiast niepokoju czasu minionego — otrzymywaliśmy w rezultacie przewodu cyfry, gramy, metry sześcienne i kwadratowe. Zamiast wartości psychicznych otrzymywaliśmy walory materialne. Liczby, nazwy, daty...

To oszołamia nieprzyzwyczajonego widza czy słuchacza, który zbyt żywo jeszcze ma w pamięci salwy, krzyki, krew i złowieszczy feldgrau okupacyjnych mundurów. Nie prędko można pogodzić się z faktem, iż na szalach sądowych więcej waży sprecyzowana dokładnie liczba niż okrzyk namiętnego wzruszenia. Tylko od czasu do czasu zeznania świadków — lekarzy, robotników, policjantów, ministrów, woźnych, inżynierów, adwokatów, księży, mężczyzn i kobiet, Polaków, Niemców i cudzoziemców — spiętrzają się w jakiś potworny węzeł dramatu. Groza wspomnień i relacji przerywa tamy sądowego rytuału. Cudem nieledwie uratowani z krematoryjnych pieców, spod salw egzekucyjnego plutonu, pozbawieni matek, dzieci, ojców i towarzyszy — nie potrafią opanować swej goryczy. Ludzie na sali wtedy płaczą, oskarżeni — z jedynym wyjątkiem: Hoessa, kamiennie obojętnego — czują się jakby zażenowani. Na niedługi moment wstaje z martwych wizja okupacji.

NIEMCY

Szóstka Niemców oskarżonych w trzech procesach wraz z paru świadkami Niemcami, takimi jak: Jaeger, Bühler, von Bach, dzieli się pod względem cech fizycznych na dwie grupy. Do jednej należy pułkownik policji Józef Meissinger, do drugiej — wszyscy inni. Jedyny Meissinger, którego wygląd nie sprawia nam zawodu... On jeden, który odpowiada ściśle, albo prawie ściśle wyobrażeniu, jakie każdy z nas i z cudzoziemców mógłby sobie stworzyć na podstawie rozlicznych relacji o okrucieństwie Niemców. On jeden jedyny, którego wygląd pozwala wierzyć, iż człowiek zdolny byłby nie tylko organizować cały zbrodniczy system policyjny — jak zrobił to w Warszawie — ale mógłby osobiście mordować i truć ludzi. Twarz Frankensteina z popularnego przedwojennego filmu.

Z wyglądem oskarżonych Niemców sprawa jest zupełnie dziwna. Każdy z nas przeżył tyle lat wśród nich, że zdawać by się powinno, iż przyzwyczailiśmy się do kontrastu między zewnętrznym wyglądem a zachowaniem i postępowaniem naszych byłych okupantów. A jednak... Jednak każdy z widzów procesu szedł tu licząc, iż na ławie oskarżonych siedzieć będą jakieś nieludzkie potwory, maszkary, osobniki o zwyrodniałych twarzach. Nic podobnego. Greiser, Fischer, Hoess, Leist i Daume, Bühler czy von Bach byli właśnie tacy sami, jakich oglądaliśmy przez lata w w Polsce, z tą tylko różnicą, że tym razem bez buńczucznych i rozlicznych uniformów.

Greiser i Fischer mieli twarze ciekawe i inteligentne. Z tym jedynie, iż Greiser miał nieprzyjemną twarz fanatyka, podczas gdy twarz Fischera zdradzała wprawdzie wiele uporu, nawet pychy, ale ogólnie robiła raczej miłe wrażenie. Nic dziwnego — intelektualista, doktor praw, meloman. Hoess miał beznadziejnie zwykłą i przeciętną twarz „przechodnia", twarz pozbawioną wyrazu, ani dobrą, ani złą — w każdym razie nie twarz, jaką wyobraźnia nasza zwykła kojarzyć z pojęciem komendanta Oświęcimia. Daume i Leist — ot! głupie gęby urzędniczków i oficerków, którzy kariery zrobili na wojnie — rzec można — w koloniach, gdzie największy dureń jest jeszcze panem i władcą poddanych mu niewolników, gdyż przypadkiem należy do Herrenrasy.

Pod względem psychicznym dzielili się Niemcy tych procesów na dwie tak samo nieproporcjonalne grupy. W tym wypadku — samotny był tylko Hoess.

Reszta Niemców też nie była jednaka. Między czterema inteligentami — Fischerem, Greiserem, von Bachem i Bühlerem były znaczne różnice.

Greiser był obłudny i zwykłym lizusostwem starał się zaskarbić sobie przychylność sędziów czy innych czynników poza sądem polskim — i zgłosiwszy się najpierw z więzienia na ochotnika do Armii Czerwonej... potem z patosem deklamował o swych filopolskich uczuciach i zasługach, jakie położył przy ewakuacji elementu niemieckiego z tej odwiecznie polskiej Wielkopolski (dla wyjaśnienia: ewakuacji przed Armią Czerwoną!).

Fischer był niezmiernie inteligentny, doskonale potrafił sam się bronić przed huraganowym ogniem oskarżenia, żywo reagował na zeznania świadków czy biegłych; gdy trzeba było — płakał nawet, lecz gdy trzeba — ironizował i kpił.

Bühler był miałkim spryciarzem, a von Bach inteligentnie oskarżał swych towarzyszy o zbrodnię spalenia Warszawy, sam będąc pewny bezkarności, jako tylko wypożyczony sądowi polskiemu przez władze amerykańskie. Leist w swej dobrotliwej apatii był inny niż Daume, który w ogóle znalazł się w tym procesie niezbyt dobrze, wiadomo z jakiej przyczyny. Wina jego wprawdzie była wielka: był z urzędu świadkiem pseudo-procesu, który władze niemieckie wytoczyły mieszkańcom Wawra, pamiętnej nocy grudniowej 1939 roku i zgodził się na egzekucję stu niewinnych ofiar. Ale zbrodnia ta była zupełnie odmiennego gatunku od zbrodni innych oskarżonych. Oni wszyscy odpowiadali za organizowanie i kierowanie systemem, maszyną organizacyjną. Jego zbrodnia była indywidualna i pojedyncza. Winien był mieć specjalny proces o zupełnie innej skali.

Każdy z nich był inny — ale wszyscy mieli jedną cechę wspólną. Zaciekle walczyli o życie. Chcieli je uratować za każdą cenę. Żaden z nich nie przyznał się do winy. Wypierali się jej z całą premedytacją, obciążając nią swych najbliższych towarzyszy, przełożonych i kolegów. Świadomie robili z siebie głupców i manekiny w ręku wszechpotężnego gestapo. Deklamowali o swej przychylności dla Polaków i przytaczali jej rozliczne i wymyślne dowody. Wyrzekli się swej dumy narodowej. Konfrontacja von Bacha z Fischerem doprowadziła wzajemne oskarżanie się do takiego nasilenia, że obaj Niemcy przed polskim sądem, sądem wspólnego im wroga, zaczęli obrzucać się inwektywami w rodzaju „świnia" i „bandyta". Niemcy nie potrafili zdobyć się na zachowanie wzajemnej lojalności; hitlerowcy nie potrafili zdobyć się na zachowanie lojalności wobec swego światopoglądu, swojej religii. Żaden z nich nie zdobył się na to, by oskarżycielom, tak ciężko oskarżającym ich niedawny światopogląd — przeciwstawić jakąś obronę tego światopoglądu. Przeciwnie — sami, na wyścigi niejako, wypierali się hitleryzmu, sami oskarżali partię, złorzeczyli Hitlerowi. Zachowanie ich miało w sobie coś głęboko odrażającego. Było ono przykładem — co z niewątpliwie inteligentnych ludzi zdolna była zrobić owa hitlerowska niszczycielska siła, „rewolucją nihilizmu" zwana trafnie, która miała w sobie taką moc rozłożenia, zdeprawowania człowieka, pozbawiła go siły wewnętrznej, uczyniła go szmatą.

Na tle takich właśnie Niemców zupełnie odmienną postacią był Hoess.

Hoess był jedynym, który winę całą przyjął na siebie, który do niej się przyznał, który parokrotnie oświadczył, iż za wszystko, co działo się w Auschwitz, on jest odpowiedzialny. Wobec zachowania się innych oskarżonych — już to było niezwykłe. Hoess na nikogo nie zwalał winy — nie bardzo mógł to robić, ale gauleiterzy i gubernatorzy wyszukiwali okoliczności łagodzące, uciekali się do wykrętów — Hoess tego nie czynił. Prostował tylko zeznania świadków wszędzie tam, gdzie nie zgadzały się one ze stanem faktycznym. Nie zgadzały, gdyż... gdyż przeczyły nauce o zadawaniu śmierci. Nie mogło zostać w ciągu jednej nocy zagazowanych 80.000 ludzi, gdyż jest to 40 pociągów, a takiej przeładowności nie miała stacja Oświęcim; nie mogli SS-mani wrzucać dzieci do ognia, gdyż żar był zbyt wielki, by podejść tak blisko; nieprawdą było, że Hoess zużywał zbyt mało gazu do trucia, co przeciągało mękę agonii, gdyż rachunki firm dostarczających gaz wykazują, że zamawiał tyle, ile przewidywał regulamin szybkiej i łatwej śmierci, nieprawda, że... nieprawda... Hoess spokojnym, fachowym głosem prostuje zeznania świadków. On zna się na tym lepiej. On był przecież specjalnie dekorowanym, najlepszym fachowcem, którego przysyłano do obozu wtedy, gdy régime miał być specjalnie surowy i krwawy. Odwoływano go do innych zadań, gdy polityka międzynarodowa i położenie na frontach nakazywało łagodzić warunki obozowe. W przerwie w zarządzaniu obozem polecono mu wykonanie „Aktion Hoess", gigantycznego morderstwa na Żydach węgierskich. Wywiązał się wzorowo. Pół miliona Żydów zginęło w ciągu jednego lata 1944. Hoess był znakomitym fachowcem.

Jeden jedyny z oskarżonych, który ani słowem nie potępił swej przeszłości, nie wykłamywał się od ideologii, jakiej służył. Na kpinę zakrawa prawdziwa ocena — zachowywał się najgodniej z wszystkich.

Ale wobec tej swoistej „godności" rodzi się niepokojące pytanie. Czy ów kamienny spokój, z jakim oskarżony traktował aż po ostatni dzień rozprawy, aż po wyrok, swe potworne czyny — jest tylko opanowaniem i godnością, czy też czymś zupełnie innym? Czy nie mamy tu do czynienia ze swoistym zboczeniem moralnym. Jest to tym prawdopodobniejsze, iż Hoess już kiedyś zamordował człowieka — jak zwykły zbrodniarz. Odsiedział wtedy parę lat w więzieniu. W roku 1933 wstąpił do SS. a w 1934 rozpoczął służbę w Dachau, jako zwykły szeregowiec. Okazał w tej służbie takie talenty, tak zdolny i pojetny okazał się w nowej nauce mordowania ludzi, że w sześć lat później stanął na czele największej fabryki śmierci na świecie. Jednym słowem czy gestem nie przekreślił swej działalności. Był to — sądzić należy — nie tylko znakomity fachowiec w mordowaniu ludzi. Był to widocznie zboczeniec, zamiłowany w swym ponurym fachu; patologiczny stwór, który został w pełni wykorzystany przez antyludzki, patologiczny system polityczny.

Tak, nie wszyscy Niemcy są jednakowi. Nawet na ławie oskarżonych. A może właśnie dopiero na na ławie oskarżonych zaczynają się różnić ...?!

OBROŃCY

Najbardziej istotnym elementem procesów — nie była ława oskarżonych. Nie była też katedra prokuratorów. Prokuratorzy w tych procesach mieli rolę najbardziej naturalną i najłatwiejszą. Utrudnili ją sobie sami — rozszerzając akt oskarżenia z winy jednostki na winę systemu, narodu nawet, co pozwoliło na stworzenie kilku efektownych i ciekawych koncepcyj prawno-światopoglądowych. Sprawa oskarżenia była sprawą jasną, prostą i zrozumiałą.

Najtrudniejsze zadanie w procesie miała obrona. Przymusowa obrona złej sprawy. Obrońcy zostali wyznaczeni z urzędu przez Izbę Adwokacką. Prawo polskie nie dozwala, by przed sądem jako obrońca stanął adwokat z innej apelacji, a więc siłą rzeczy był wykluczony jakikolwiek obrońca niemiecki. Więcej — Greisera musiał bronić Poznaniak, przez Greisera wysiedlony i gnębiony; Fischera i towarzyszy musieli bronić adwokaci warszawscy, z których mecenas Wagner był szczególnie przez Niemców prześladowany, parokrotnie musiał zmieniać nazwisko i mieszkania. Prześladowani musieli bronić swych prześladowców. Było to zjawisko niebywałe. I obrońcy polscy potrafili sprezentować w nim nie tylko wysoką klasę kunsztu zawodowego, ale — i przede wszystkim — wysokie poczucie obowiązku wobec sprawiedliwości. Słowa jednego z obrońców, że „adwokat jest kapłanem w służbie wymiaru sprawiedliwości", znalazły tu pełny i niezwykły wyraz.

Po zakończeniu procesu Greisera przewodniczący Trybunału, sędzia Bzowski, wezwał do swego pokoju wszystkich uczestników procesu — swych kolegów sędziów, ławników, prokuratorów, tłumaczy, sekretarzy, stenografistów, woźnych. I wszystkim zebranym oświadczył, że dwaj obrońcy Greisera, dr. Kręglewski i dr. Hejmowski, spełnili swój obrończy obowiązek wobec wroga w taki sposób, że ich postawa adwokacka w tej sprawie winna się stać przykładem dla tych młodych studentów prawników, którzy poświęcą się adwokaturze.

Takie uznanie spotkało obrońców poznańskich, którzy jednak obronę swoją, zresztą przygotowaną wyjątkowo solidnie i zręcznie, oparli tylko na próbie formalnego, prawnego podważenia kompetencji sądu do wydania wyroku. Ograniczyli ją więc do interpretacji prawnej.

Inaczej postąpiło czterech obrońców w procesie Fischera. Warszawscy mecenasi: Chmurski, Śliwowski, Wagner i Węgliński zdobyli się na gest prawdziwej obrony swych niedawnych gnębicieli. Nie ograniczali się do podważenia formalnych stron oskarżenia, ale z impetem i temperamentem dążyli do obalenia zeznań świadków, do ustalenia — w pewnych sprawach — alibi swych klientów. Raz po raz, niemal co dzień, na sali wybuchały namiętne, gorące spory między prokuraturą a obrońcami. Szczególnie w sprawie Fischera mieli obrońcy pole do popisu. Ustalenie dowodu winy w sprawie Meissingera i Daumego wcale nie było takie proste i oczywiste. Ludwik Leist zamiast spodziewanej kary śmierci otrzymał osiem lat więzienia — co może zarówno zawdzięcza przychylnym zeznaniom świadków, jak własnemu obrońcy. Choć najwięcej zawdzięcza może sobie samemu, że był przed laty trochę lepszy od innych... Sprawa samego Fischera, acz oczywista w głównych zarysach, nie była nią wcale w szczegółach. A sprawiedliwość, jeśli nie chciała być konwencją tylko, musiała nie tylko dać się powodować przeświadczeniu publicznemu o bezapelacyjnej generalnej winie oskarżonych, ale musiała osiągnąć pełne i szczegółowe wyświetlenie owej „prawdy materialnej". Nad ustaleniem tej „prawdy materialnej" po społu pracowali polscy sędziowie, polscy prokuratorzy i przede wszystkim polscy obrońcy.

Obrona we wszystkich trzech procesach — była dobitniejszym oskarżeniem systemu hitlerowskiego, jego praktyki i jego moralności, niż mogli tego dokonać nawet prokuratorzy. Była oskarżeniem nie tylko o to, że jednego Hoessa system ten pozbawił moralności, ale głównie o to, że w systemie hitlerowskim podobny proces nie-Niemca i podobna obrona adwokata Niemca były zupełnie niemożliwe. To było oskarżenie niemieckiego i hitlerowskiego systemu sprawiedliwości. A wiadomo, że jakość wymiaru sprawiedliwości najlepiej świadczy o państwie i systemie politycznym.

Obrońca Leista mecenas Śliwowski utrafił w sedno, gdy swą obrończą mowę rozpoczął od słów: „W każdym procesie musi być pewien głęboki swoisty sens obrony. Tu jest istota kwestii „człowiek a system" Gdyby w tej sprawie okazało się, że nie ma różnicy między człowiekiem a systemem, nie byłoby miejsca dla polskiego obrońcy i głos przypadłby tylko prokuratorowi"...

Jeśli w procesach niemieckich zbrodniarzy wojennych głos miała prócz prokuratora i obrona — to tylko dlatego, iż takie właśnie są obyczaje polskiej sprawiedliwości.

PO WYROKU

Greiser, Fischer, Meissinger, Daume i Hoess zawiśli już na szubienicy. Leist odsiaduje swoją długą karę. Zbrodniarze ponieśli indywidualnie karę zasłużoną. Czy jednak tylko w tej indywidualnej karze tkwi sens istotny tych procesów?

Niewątpliwie nie!

Fakt, że po zakończeniu wojny rozpoczęły swą działalność sądy specjalne i we wszystkich krajach pewna część najwybitniejszych a nawet średnich zbrodniarzy niemieckich ponosi zasłużoną karę — jest pewnego rodzaju zadośćuczynieniem dla poczucia ludzkiej sprawiedliwości. Nie jest to zadośćuczynienie ani pełne, ani należyte. Ciała kilkuset zbrodniarzy nie zrównoważą hałdy popiołów, jaka pozostała po 5 milionach zamordowanych obywateli polskich i 10 milionach cudzoziemskich. Prokurator Siewierski rozpoczął proces Hoessa właśnie od określenia owej dysproporcji. Dysproporcji między winą a karą. Istnieje ona w wymiarze sprawiedliwości zawsze tam, gdzie wchodzi w grę życie ludzkie. Z reguły zbrodniarz jest jednostką mniej wartościową niż jego ofiara — a więc dysproporcja istnieje, choćby w sensie pożytku społecznego obu straconych jednostek: tej zamordowanej i tej ukaranej. Kary pieniężne i więzienia — są często nader słabym środkiem naprawienia zła popełnionego przez oszustów. Uwięzienie złodzieja—nie zawsze przywraca okradzionemu jego własność... A jednak karze się za dokonane zbrodnie i przestępstwa. Karze się od wieku wieków z pełną świadomością częstej nieproporcjonalności miedzy winą a karą. Gdyż kara za zbrodnie tylko w pewnym stopniu musi materialnie wyrównać poniesioną stratę. Ma ona być jednak satysfakcją moralną, mającą wielkie znaczenie wychowawcze — dla innych. Rzadko kiedy istniała możność odebrania złodziejowi ukradzionego dobra, ale fakt, iż w średniowieczu kraje skandynawskie były tymi, gdzie stosowano nieludzko ciężką karę za kradzież: karę odcięcia ręki — był niewątpliwie jednym z tych elementów, jakie leżą u podstawy dzisiejszej uczciwości narodów północnego półwyspu.

Oczywiście — pełna sprawiedliwość dokona się dopiero wtedy, gdy w jakiś sposób cały naród niemiecki zostanie ukarany za popełnioną zbrodnię hitleryzmu. Sprawiedliwość działa również przez zabezpieczenia prewencyjne. Zabezpieczenia, które mogą stworzyć pewność, że naród niemiecki nie będzie zdolny do nowych wypraw łupieżczych, gdyż zostaną mu wyrwane kły i pazury. Ale to już jest zagadnienie, które przekracza kompetencje Najwyższego Trybunału Narodowego. Należy ono do polityków i mężów stanu. Czy zrozumieją oni wymowę szubienic?

Szubienice tych pięciu zbrodniarzy — i dziesiątki, setki szubienic innych zbrodniarzy niemieckich — mają być tym najwidoczniejszym symbolem, że żadnym zbrodniarzom zbrodnia nie uchodzi bezkarnie. Że po latach największego pohańbienia sprawiedliwość jednak powraca i działa.

Kazimierz Koźniewski

Nakładem Administracji PORADNIKA „PRACOWNIKA SPOŁECZNEGO"
ukazała się broszura
J. KLAINERMANA
p.t.
NOWY USTRÓJ PAŃSTWOWY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Do nabycia we wszystkich księgarniach i kioskach Sp. Wydawniczych »Czytelnik« i »Książka«, w księgarniach Gebethner i Wolff, Arct, Trzaska Ewert i Michalski, oraz w administracji »Poradnika Pracownika Społecznego« Warszawa, Rakowiecka 4. Cena 5 zł.
k 152—1

OD ADMINISTRACJI

Z dniem 1 kwietnia administracja „Odrodzenia" przeniesiona została do Warszawy. Zamówienia prenumeraty oraz wszelką korespondencję prosimy kierować na adres: Administracja Wydawnictw „Czytelnika", Warszawa, Daszyńskiego 16. Pieniądze na prenumerate wpłacać prosimy na konto czekowe w PKO nr. I-4739.

JERZY ANDRZEJEWSKI (14

ZARAZ PO WOJNIE

POWIEŚĆ

Stali nad samym brzegiem stawu, wśród gęstej i mokrej trawy, dotykając się ramionami nieomal, jednak wcale prawie nawzajem się nie widząc. Mroczna i bezgłośna powierzchnia stawu też zaledwie była widoczna. Mrok tutaj zalegał nieprzenikniony. Dokoła, pełen tajemniczych szelestów, spływał wśród ciemności gąszcz wysokich, płaczących wierzb.

— Jurek! — szepnął Felek.

— Co?

— Wiejmy, mówię ci.

— Chwilę.

Podszedł do Alka. Ten, zgięty w pół, ramieniem obejmując kurczowo wilgotny krzak, ciągle jeszcze się krztusił i dławił. Na koniec ucichł.

— Lepiej ci? — spytał Szretter.

Alek słabo potrząsnął głową. Mdłości przeszły mu wprawdzie, lecz czuł się zupełnie bezsilny i rozbity, zobojętniały na wszystko.

— No? — dobiegł z ciemności niecierpliwy szept Felka.

Szretter skinął na niego. Tamten się przysunął.

— I co?

— Smaruj! — powiedział krótko Szretter.

Felek się zawahał.

— A wy?

— Nie bój się, dam sobie radę. I tak nie możemy iść razem. Do jutra.

Felek nie odchodził.

— No? — zniecierpliwił się Szretter. — Na co czekasz? Smaruj, powiedziałem.

Felek, jeszcze się ociągając, wyciągnął rękę.

— Do jutra? Przyjść do ciebie?

— Przyjdź. I uważaj.

— Sam wiem — odburknął tamten.

— Przechodząc obok, poklepał Alka po ramieniu.

— Trzymaj się, stary.

Jak cień wśliznął się pomiędzy krzaki. Zaszeleściły liście, gałązka jakaś trzasnęła przy ziemi cienko. I znów się stała cisza.

Alek nie ruszał się. Gdy Szretter objął go przez plecy, poczuł, że tamten dygoce.

— Jak?—spytał cicho. — Chcesz jeszcze rzygać?

Alek niewyraźnie coś mruknął.

— Nie chcesz?

— Nie.

Wyprostował się, odsuwając tym ruchem ramię Jurka. Przez chwilę stał ze zwieszoną głową, wreszcie odetchnął głęboko i całkiem po dziecinnemu, w taki właśnie sposób, w jaki po męczącym płaczu zwykły chwytać oddech dzieci. Potem chustką począł wycierać usta.

Szretter przyglądał mu się w milczeniu. Sylwetka Alka rysowała się obok, nikła, bardzo drobna, zagubiona w ciemnościach. Wolno i długo obcierał usta. Na koniec schował chustkę. Znowu odetchnął tym razem zwyczajnie już, bez zachłyśnięcia się.

— No? — spytał Szretter.

— W porządku.

— To wal do domu.

Alek skinął głową.

— Przyjdziemy jutro do ciebie z Felkiem. Dojdziesz?

— Pewnie.

— To serwus!

— Serwus.

Szretter poklepał go po ramieniu.

— Napij się po drodze wody sodowej; to ci dobrze zrobi.

Po chwili został sam. Łagodny, niczym niezmącony spokój trwał dokoła. Pachniała ziemia. Pachniały drzewa. Wiosna pachniała. Leciutka mgiełka bielić się poczynała ponad stawem. Gdzieś wysoko wśród drzew zatrzepotał przebudzony ptak. Zakuwikał sennie i natychmiast ścichł.

Mimo tłoku na sali i przyćmionych do tańca świateł, czujne oko Słomki z daleka wychwyciło wysoką sylwetkę Puciatyckiego, zaledwie ten ze swoim towarzystwem wszedł do restauracji. Grubas sapnął i przychwycił pierwszego kelnera, który mu się pod rękę nawinął.

— Stolik dla hrabiego Puciatyckiego. Najlepszy, jaki jest.

Trafił jednak na młodego chłopca, który od paru zaledwie dni pracując w Monopolu niedość sprawnie umiał sobie poradzić z sobotnim ruchem, nie orientował się poza tym w ważności tutejszych gości.

— Wszystko zajęte, panie szefie.

W sprawach zasadniczych Słomka nie znosił sprzeciwu.

— Jak mówię, że ma być stolik, to stolik musi być, zrozumiano? Natychmiast.

I pozostawiwszy kelnera jego własnej przedsiębiorczości, przepychać się począł pomiędzy ciasno stłoczonymi stolikami. Dotarł do Puciatyckiego, gdy ten bezskutecznie się właśnie rozglądał za wolnym miejscem.

— O, nasz kochany pan Słomka! — ucieszył się restauratorem, którego znał z przedwojennych jeszcze czasów ze Lwowa. — W panu nasza nadzieja. Znajdzie pan coś dla nas?

— Już służę. Dla pana hrabiego nie byłoby stolika? Moje uszanowanie, panu hrabiemu — ukłonił się, dostrzegłszy stojącego przy paniach Teleżyńskiego. — Stoliczek jest przygotowany. Proszę łaskawie za mną.

— To świetnie! — przeciągnął Puciatycki.

I pozostawiwszy opiekę nad kobietami Teleżyńskiemu, wdał się po drodze w rozmowę ze Słomką. Przepadał za rozmowami z ludźmi miernie zanotowanymi w hierarchii towarzyskiej.

— Ruch widzę u pana, drogi panie...

Słomka ledwie dostrzegalnymi ruchami okrągłego brzucha sprawnie torował drogę dokoła parkietu. Przy nastrojowo przygaszonych światłach, w żółto-niebieskawej poświacie, tłum tańczących par leniwie się kołysał w rytm melodii tanga.

— Wojna się kończy, panie hrabio. Ludzie się chcą bawić.

— Słusznie. Coś w rodzaju intermezza.

— Co proszę?

— Coś w rodzaju intermezza, mówię. Przerwy. Antraktu.

— A tak, oczywiście.

I teraz się dopiero zorientował, co chciał przez to Puciatycki powiedzieć. Łypnął w jego stronę okrągłym okiem.

— Przypuszcza pan, panie hrabio?

— Ba!

Dobrotliwie poklepał Słomkę po plecach.

— Niech się pan nie martwi, drogi panie. Wszystko będzie dobrze. Nie takie rzeczy widzieliśmy i jednak przetrzymaliśmy.

— Słusznie, panie hrabio. Zawsze mówię to samo. Grunt, to przetrzymać.

Orkiestra umilkła w tym momencie i natychmiast zapaliły się wszystkie światła.

— Mało, mało! — rozległy się głosy z parkietu.

Prowadzący orkiestrę skrzypek dał znak. Światła przygasły. Znów zabrzmiało to samo tango.

— Gdzież ten stolik? — rozejrzał się Puciatycki.

Słomka, szybkim spojrzeniem ogarnąwszy sytuację, lekko się zaniepokoił.

— Już, panie hrabio.

Młody kelner, któremu polecił wynalezienie wolnego miejsca, naradzał się właśnie z jednym ze swoich starszych kolegów. Słomka dopadł do nich.

— Gdzie stolik dla hrabiego?

Tamten drugi, wieloletni praktykant, uznał za właściwe w swoje ręce ująć inicjatywę.

— Chwileczkę, panie szefie, już się robi. Zwalnia się właśnie na czwórce, dałem już rachunek.

Słomka piorunującym spojrzeniem zmierzył młodego i natychmiast obrócił uśmiechniętą twarz w stronę Puciatyckiego.

— Chwilkę cierpliwości, panie hrabio.

Puciatycki skrzywił się.

— Co, nic nie ma? Ładna historia!

Odwrócił się do Słomki ostentacyjnie plecami i zirytowany podszedł do nadchodzących z Fredem Teleżyńskim pań.

— Wyobraźcie sobie, wszystko pozajmowane.

Słomka, pośpiesznie przebierając paluszkami, dreptał u jego boku.

— Chwileczkę, panie hrabio, dosłownie chwileczkę. Już się zwalnia stolik.

— Co mi pan zawraca głowę? — rozzłościł się na dobre Puciatycki.— Zwalnia się! Gdzie się zwalnia? Mamy tu godzinę stać i czekać? Wybacz, moja droga — uprzedził łagodzący gest żony — ale nie mogę pozwolić na podobne traktowanie. To na kpiny przecież zakrawa. Zabierajmy się stąd. Noga moja więcej nie postanie w tym lokalu.

Staniewiczowa wcale nie miała ochoty rezygnować z uplanowanej zabawy. I tak z powodu ulewy stracili całą prawie godzinę.

— Boże, cóż za straszny despota z pana! Czy my kobiety już wcale się nie liczymy?

— Chodźcie najlepiej do baru — poradził Teleżyński. — Na pewno znajdziemy tam wolny stolik. Wiesz, Adamie, kto tam teraz podaje?

— No?

— Krysia Rozbicka.

— Rozbicka? Popatrz! Z których Rozbickich, z Krzynowłogi?

— Nie, to jej stryj jest z Krzynowłogi. Ci są z Poznańskiego. Wiesz, córka Ksawerego Rozbickiego.

— Co ty mówisz? — zdumiał się Puciatycki. — Gdzie się ludzie nie spotykają! Słyszysz, Różo? Fred powiada, że w tutejszym barze pracuje mała Rozbicka, córka Ksa-

MIECZYSŁAW JASTRUN

SPRAWOZDANIE Z PODRÓŻY

Podczas tej zimy rozważałem
Olśniewającą biel śniegu
W Alpach na wysokości 3000 metrów.
Lutnia powietrza grała niewidzialna.
W tej mroźnej atmosferze myśl jest jak lód czysta.
Sprawiedliwość jest zimna jak lodowca miecz,
Litość nie wytrzymuje niskiego ciśnienia.
Olbrzymie wodospady zamarznięte w locie
Tworzą blado-zielone obrusy stearyny.
Koń górski z głową białego obłoku
Zawisnął nad przepaścią —
W skoku
Jak na filmie zwolnionym
Grzmotem lawiny
Runie i zmiażdży domki małe i mniejszych jeszcze ludzi,
Którzy nie znaczą nic w tym krajobrazie
Zamków powietrznych i lodowych wież.
Ciebie pamiętam, starożytna wiosko Miege,
O spichrzach wielkich jak gontyny z głazu,
Jak gontyny na kamiennych kołach
(By zabezpieczyć zboże przed najazdem myszy)
O domach, których zielone okienka tworzą z lazurem idylliczny pozór,

Miasteczko nędzy i kamienia,
Gdzie płot barwami zdartych afiszy
Przypomniał mi obrazy van Gogha,
Gdzie zagrody Szwajcarów pod kamienne płaszcze
Zgarniają narzędzia rolnicze i wozy,
Gdzie młyn zrezygnowany
Od wieków
Patrzy na swoje nieruchome koło,
Gdzie na jednej ścianie skrzyżowane
Narzędzia pracy były jak narzędzia męki
Z ćwickami zardzewiałymi, z dzidą, z gąbką, z drewnem.

W uliczce stromej, która zbiega do stóp wzgórza,
Dziecko nie większe od biedronki
Bawi się dzbankiem zielonym.
Mrówka i konik polny stają do wyścigu
Pod żelaznym przerzutem mostu, spinającego przeciwległe skały.
Mnóstwo drobiazgów powleczonych werniksem
Jak na obrazach starych, w których nie ma
Bardziej lub mniej ważnych rzeczy, gdzie wszystko
Jednemu jak w dzieciństwie służy celowi.

Ta kolejka linowa — to zabawka, którą
Widziałem na wystawie, niegdyś marzyłem o niej.
Kiedy znika w tunelu, świerk na nieboskłonie
Drży jak moje marzenie wystrzępione w pióro.
Nagle zmienia się wnętrze Alp w morską głębinę
Skamieniałą, gdzie w ruchu zastygły delfiny.
Gwiazda lodowca świeci z czoła zatopionej góry,
A tam czy obłok odwrócony i odbity płynie?

Dolina grozy,
Na której zboczach
Żaden świerk nie zaczepi zgłodniałych korzeni.
Stworzenie świata nagle zatrzymane w oczach,
Dolina Jozefata,
Gdzie stoczyły się kości kamiennych pokoleń.

Przejeżdżałem przez martwe krajobrazy Biblii,
Patrząc na cień łucznika, co mierząc nie chybi
Kamienną strzałą w niebo. Z wszystkich naraz stron
Zmierzch zstępował obszerny jak werset psalmisty.

Samotny sterczy kościół kamienny w Raron,
Wykuty w skale, na górze skalistej
Szeroki w barkach a jak szczyt strzelisty,
Gdzie stary wiejski cmentarz zakopany w śniegu
Stał w mroku, w zwiędłych wieńcach na przepaści brzegu.
I nagle zakołysał się, gdy zabrzmiał dzwon.

W ciemności droga wyostrzona topolami,
Prowadziła do małej stacyjki, powietrze nad drogą
Było wyższe niż u nas, świecące gwiazdami,
Jedna spadła, jak Ikar, w morze nocy uciszone błogo.

Wracałem wczesną nocą ku gwieździe ojczystej,
Oczami obrócony na nią jak umarły,
Spojrzeniem zagubionym w przestrzeni
Jak zaginionym listem,
Którego dotąd ręce niczyje nie otwarły,
Żegnałem kraj podobny do królestwa cieni.

TADEUSZ BREZA

Notatnik szwajcarski

LUDZIE I MYSZY*)

Spaceruję sobie ze znajomym Szwajcarem po szwajcarskiej wsi. Jesteśmy w jednym z kantonów francuskich, z dala od małych miasteczek i z dala od ferm tej niemieckiej Szwajcarii, zabudowanej bogatymi domami, wielkimi i wspaniałymi jak arki. Ich dostojne i zamożne życie upływa im przeważnie na dolinach. nas otaczają skały. O kilkaset metrów pod naszymi nogami przewija się Viège, dopływ Rodanu. Rozglądamy się po wiosce umocowanej stromo na prawie że prostopadłym stoku. Mieszkańcy jej twierdzą, że gdyby wychylić się i splunąć z tarasu, na którym zbudowany jest kościół, to ślina by spadła do rzeki, płynącej o pięćset metrów poniżej. Jest to jednak ich przypuszczenie. Dotąd nikt splunąć nie spróbował. Bo pluć w takiej bliskości od kościoła to grzech.

Wszędzie wieś tutejsza jest żarliwa i zabobonna. Religijnością biedaków, samotników i linoskoczków. Malusieńkie wycinki pól nie są w stanie mieszkańców wyżywić. Owsa i jęczmienia nie ma tu dosyć na sprzedaż, a wina nikt by nie kupił. Taki to kwas! Nawet podobno zdarzyło się przed wiekami, że diabeł nie mógł szklanki tutejszego wina dopić, choć się o to założył; a za wygraną miał dostać pewną ludzką duszę. Ale to na pewno nieprawdziwa historia. Póki przez sąsiednie lasy nie przeszła tędy kolejka, jakżeby się tu dostał? Zanim ona nastała, całymi dziesiątkami lat nikt obcy do wsi nie zaglądał. A kto raz w dolinach czego się uczepił, już do rodzinnych stron nie powracał. Ludzie wśród swoich rodzili się, wyrastali i umierali. Kiedy poprzednik dzisiejszego proboszcza zachorował (a musiało to być albo na jesień, albo na wiosnę), trzeba było czekać sześć tygodni, by przejścia zrobiły się wystarczająco sposobne, żeby go znieść. Doktór z doliny żaden by się tu nie dostał. Bo na to by musiał być ekwilibrystą.

Teraz wieś już ma lepiej, bo znalazła się w bliskości kolejki. Jedna taka na sto. Szwajcar opowiada mi o ciężkiej biedzie w podobnych siołach. Przez żadną kolej zaraz się one nie wzbogacą, bo nadal nie mają czego sprzedawać miastu, ale przynajmniej ludzie ze wsi nie muszą schodząc do roboty dzień w dzień wstawać o czwartej z rana, żeby po pracy wlec się jeszcze pod górę przez parę godzin. Przyglądam się tutejszej architekturze. Jest gruba, drewniana, złożona z samych dobudówek. Pośrodku ciśnie się sama chata. Stara, bliska rozpadu. Z boku podpiera ją nowy pokoik. Ale jednocześnie inna, również nowa izdebka, przygniata ją od czoła. Widać, że gospodarzowi tej chaty pożeniły się dzieci. Dziś niedziela. Wszystkie domy pozamykane. Jest teraz wczesne popołudnie, więc i kościół też. Mija nas grupa chłopców i dziewczyn, na nasz widok towarzystwo wyciąga szyje, a napatrzywszy się, odwraca z obojętnością. Kółko zatrzymuje się to tam to tu; zadzierają głowy, wołają coś do tych pięterek, wszędzie tutaj zamieszkałych przez młodych. Pogadują coś, przymawiają jedni drugim, przez cały dzień będą się tak stykać, namawiać się, wyciągać z domu. Dokąd? Kiedy chcemy odpocząć i czegoś się napić, okazuje się, że nie ma tu żadnej knajpki. Bieda!

Rozmawiam ze swoim Szwajcarem o nędzy na ziemiach zniszczonych przez wojnę. Zapala się do tematu. Powiada, że zagadnienie to go przejmuje i że się na nim trochę rozumie. Powiaty spalone, całe wsie i miasteczka bez zapasu kartofli, zboża na siew, bez jednej krowy, bez koni, niewyposażone w narzędzia rolnicze. Szwajcar wie. Pokazuje mi ręką na wioskę i informuje, że w jego kraju również pozostało jeszcze wiele do roboty. Wsie w takim stanie nie powinny dłużej istnieć! — „Poczuliśmy podczas wojny ich ciężar. I to pod wieloma względami. Po pierwsze pod względem materialnym! Przeważna część służby hotelowej rekrutuje się przecież stąd. Jest niewymagająca, zabobonnie uczciwa, z pensji pomaga jeszcze swoim wiejskim rodzicom. Wojna przerwała jej rekrutację. Wie pan do jakiego stopnia wykończyła ona naszą turystykę. Przemysł hotelowy nowych ludzi nie szukał. Ale nie na tym koniec! Przed wojną mieliśmy w Szwajcarii olbrzymie pogłowie krów. Dla naszych gości, dla skondensowanego mleka, dla naszej czekolady. Dla tych krów sprowadzaliśmy paszę z Południowej Ameryki. Wojna i temu przeszkodziła. Musieliśmy zabić około połowy bydła. W pierwszym rzędzie skazaliśmy na rzeź gorsze sztuki i gatunki. A więc przede wszystkim krowy z takich wiosek! Sion jest stolicą tutejszego kantonu. Chodziły tam delegacje z żądaniem, żeby rząd nie zabierał rodzinom górskim bydła, ponieważ to jedyni ich żywiciele. Chłopi nawet powoływali się na specjalny przywilej, stosowany przy poborze do wojska w pewnych krajach do jedynych synów Oczywiste grube pomieszanie nic z sobą nie mających wspólnego prawniczych pojęć. Tak więc wojna zepchnęła wsie tutejsze na dno. Oczywiście skrupiło się to na kieszeni reszty Szwajcarów. I musiało się skrupić, żeby nie doszło do gorszych rzeczy! Przecież ten element, który stąd odpływał, to był element najambitniejszy! W jednym z tutejszych miasteczek debiutował jako chłopiec na posyłki wielki Cezar Ritz. Ten góralczyk początkowo był boyem w Zermatt, później kelnerem na dolinach, wreszcie maitrem d'hôtel, a pod koniec życia właścicielem najwspanialszych hoteli w kilku stolicach świata, milionerem! To człowiek, co pierwszy wspólny stół z tradycyjnych oberży rozbił na dzisiejsze osobne restauracyjne stoliki! Edward VII nazwał go „królem hotelarzy i hotelarzem królów"! Ma więc sobie czym zaprószyć głowę młody tutejszy góralik, kiedy o takim Ritzu pomyśli. Oczywiście jeżeli jest chłopcem, któremu nie brak porywów. Wojna położyła kres podobnym marzeniom. We wsiach nastąpił zator. I coś się w nich zaczęło psuć. Począł się rozwijać przemyt, przeprowadzanie z Włoch ludzi, od łyczka do rzemyczka doszło do tego, że w różnych miejscowościach Szwajcarii ciemne typy przyłapywane na rabunkach, okazywały się przeważnie ludźmi stąd. Wtedy cały kanton uświadomił sobie niebezpieczeństwo oraz fakt, że raz zmąconej równowagi nawet pokój w zupełności do dawnego nie przywróci. A tu jeszcze do tego wojna trwała i trwała i koszty pomocy dla górskich wiosek tylko rosły. Wtedy rząd postanowił zagadnienie ich nędzy rozwiązać strukturalnie. Rozpoczęto budowę kolejek. Powstało takich już kilkanaście. Tych nie turystycznych, ale specjalnie i wyłącznie robotniczo - rolniczych. Mówił mi pan przed chwilą o nędzy w swoim kraju. Może wracając do siebie zawiezie pan wiadomość o nich. Oraz tę dodatkową informację, że z górskich najtańsze i najlepiej się kalkulujące są niewątpliwie linowe!"

Jakże często zdarzają się w Szwajcarii podobne nieporozumienia. Nawet jeżeli ludzie tutejsi zrozumieją jakieś nasze zagadnienie, zawsze zresztą swoiście, to już w żadnym razie nie uchwycą skali. Opowiadam o przesiedleniach, psychicznych i materialnych trudnościach akcji zaludnieniowej na Zachodzie. Szwajcarowi żal jest ludzi repatriowanych zza Bugu, wrosłych w swoje strony korzeniami. I zapytuje mnie, czy znam sprawę kilku szwajcarskich wiosek, które miano zalać wodą dla zrobienia sztucznego jeziora. One słyszeć o niczym nie chciały. Za żadne pieniądze! Ludzie z tych wiosek układali pieśni i wiersze, a pomagali im wszyscy szwajcarscy dziennikarze i poeci. Drukowano je. Odczytywano na specjalnych manifestacjach. Wioski zwyciężyły. Szwajcar patrzy na mnie z dumą i mówi pouczająco: — „Tak się u nas podobne rzeczy załatwia!" — Zmieniam temat, przechodzę na sprawy okupacyjne, na sprawę strachu i terroru. To i owo mu relacjonuję. Na temat obozów, łapanek, więzień. I na temat tych seryjnych nocy, w których człowiek się denerwował, słysząc jak przed jego domem staje auto czy zatrzymują się kroki. Albo podczas powstania, kiedy to Niemcy podchodzili tak blisko, że ich głosy rozbrzmiewały jak gdyby za ścianą. Na to mnie mój rozmówca zapewnia, że i jemu są znane podobne lęki, a to z trzech dób do końca jego życia niezapomnianych, gdy w okolicach Szafuzy leżał wraz ze swoim oddziałem tuż u granicy niemieckiej. — „Człowiek w każdej godzinie mógł się spodziewać, że oni zechcą wejść! Był u nas jeden taki niesłychanie napięty moment!" — I na myśl o tym momencie budzą się w nim tym razem jakieś mocniejsze uczucia antyniemieckie. — „Jacyż to ludzie! — oburza się. — Nasz kraj był przez nich całkowicie otoczony. I oni doskonale sobie z tego zdawali sprawę, że my nie robimy sobie żadnych iluzji i gotowi jesteśmy ponieść wszystkie konsekwencje. Nasz rząd we wszystkim im szedł na rękę. Cały nasz przemysł dla nich pracował. A oni jeszcze chcieli wkroczyć!"

Rozmowa się na te słowa zapada. Obeszliśmy już całą wieś. Wracamy przez inną uliczkę. Chaty nam się teraz ukazują od drugiej strony obejścia. Stoją za nimi jakieś dziwaczne domki. Pół na pół w powietrzu. Na klocach wbitych w ziemię sztorcem. Każdy z nich, czasem na metr wysoki, kończy się szeroką kamienną kryzą. Kryza taka będzie niekiedy również miała z metr średnicy. Na tych palach, ustawionych w czworobok, po trzy w jednym rzędzie, dopiero wyrasta niewielki budynek. Bez okien, drzwi ma, ale schody, które do nich pasują, leżą odrzucone na klepisku. Okazuje się, że to są spichrze. A te kamienie? Celem udaremnienia dostępu myszom!

Rozmowa, którą Szwajcar ostatnim przykładem swojego rozumowania spłoszył, teraz pomiędzy nami powraca. Tyle że staje się cichsza. — „I one nie mogą się po tym słupie dostać?" — pytam się i dziwię. Dowiaduję się na to, że z pewnością nie, a poza tym, że w tutejszych górach myszy jest dużo i że się bardzo narzucają. W kantonie Valais są liczne, w Vaud, w Neuchâtel. Podczas wojny się rozmnożyły, a raczej pomnożyły o te wszystkie francuskie, włoskie, niemieckie graniczne myszy, które tysiącami uciekały na teren Szwajcarii, gdy w bliskości przychodziło do bombardowań czy bojów. Słucham tych informacji z zaciekawieniem i przyglądam się ochronnej strukturze. — „Tak! — rozumuję sobie głośno. — Po drzewie to ona się dostanie, ale niech no spróbuje wejść na kamień, to się spod niego zwali!" — Nie wiem dlaczego Szwajcarowi wydaje się, że ja muszę być po stronie myszy, bo mówi: — „Trudno! Nie ma innej rady, chociaż pan może sobie wyobrażać, że to urządzenie jest nieludzkie!". — Przez krótką chwilę zbiera się we mnie ochota, żeby do niego przymrużyć wesoło oko, ale nie potrafię. Bo nagle stają mi w pamięci te najróżniejsze, słyszane świeżutko historie o ludziach, którzy chcieli się na teren Szwajcarii dostać i zostali z granicy zawróceni. Coraz to inne tysiące pchały się to od tej, to od innej strony. Żydów, Polaków, Francuzów, Włochów, Anglosasów, Niemców. Ale Szwajcar się zaparł na straży swojego spichrza. Ryglując go inną sztuką niż ta z kamieniem, przed chwilą nazwanym przez mojego znajomego urządzeniem nieludzkim. Słusznie, bo w stosunku do ludzi strażnik spichrza zastosować musiał inne urządzenie. Trudno! Wbrew jednak tym smutnym myślom nagle prawie że się uśmiecham. Na wspomnienie słówka naszej dawnej gospodyni, która po przyjeździe do wiejskiego domu moich rodziców, załamawszy ręce krzyknęła: — „Że też u państwa w pokojach tyle myszy potrafi być!".

Tadeusz Breza

*) Por. „Fatalny listopad" w 125, „Złota Kula" w 126 numerze „Odrodzenia".

---

werego. Trzeba pani wiedzieć — począł wyjaśniać Staniewiczowej, — że kiedyś, kiedyś, w zamierzchłych czasach Ksawery Rozbicki strasznie się kochał w mojej żonie...

Słomka, który w czasie całej tej rozmowy nie wiedział, co ze sobą zrobić, dojrzał naraz, że od jednego ze stolików w głębi sali poczęli wstawać goście. Westchnął w sobie z ulgą i obtarł dłonią spocone czoło.

— Już jest stolik, panie hrabio.

— A dajże mi pan spokój! — fuknął Puciatycki. — Nie potrzebujemy żadnego stolika. Obejdzie się. Do baru sobie pójdziemy.

Słomka chciał jeszcze coś mówić, tłumaczyć, lecz stanowczy gest Puciatyckiego zamknął mu usta. Odprowadzając wzrokiem odchodzących, żuł przez parę chwil swoją klęskę. Wtem poderwał się. Przeniknął wzdłuż sali, zawrócił i znów się potoczył pomiędzy stolikami. Ale młodego kelnera, który swoim niedołęstwem zabałaganił całą sprawę, nigdzie nie było. Dopadł go wreszcie w wąskim korytarzu prowadzącym do kuchni. Chłopak niósł kilka dań i chciał swego szefa wyminąć. Słomka wypiętym brzuchem zagrodził mu drogę.

— A, dobrze, że cię widzę. Od jutra możesz sobie szukać innej pracy. Podawanie w Monopolu, to nie jest praktyka dla dyletantów, zrozumiano!

Kelner spojrzał na niego z ukosa.

— Wolnego! Co za ty? Świń z panem nie pasałem. Sobie możesz pan od jutra wymówić.

Słomkę zatkało w pierwszej chwili oburzenie. Poczerwieniał i paluszki mu przy piersiach znieruchomiały.

— Co? Coś powiedział? A to bezczelność!

— Te, te! — przeciągnął z warszawska chłopak. — Uważaj pan, żeby Związek nie miał tu coś do powiedzenia. Zrozumiano? I odwal się pan pókim dobry, goście czekają.

Słomka całkiem zapomniał języka w gębie. Stał z otwartymi ustami, wybałuszywszy oczy i tylko krew coraz gwałtowniejszą falą nabiegała mu do twarzy. Tamten, niewiele myśląc, odsunął go na bok niecierpliwie łokciem i zniknął we drzwiach prowadzących na salę.

— Szlag mnie trafi — pomyślał Słomka, czując w skroniach coraz silniejszy, o ciężarze żelaza ucisk tętniącej krwi. I naraz strasznie mu się żal zrobiło życia. Któż by go odprowadzał na cmentarz? Nikt. Pies z kulawą nogą by nie poszedł. Samotną trumnę powieźliby karawanem i do dołu jak niepotrzebny ochłap zakopali. Drobne łezki napłynęły Słomce pod powieki. „Muszę się jutro z rana wybrać na ryby — pomyślał rzewnie. — To mi dobrze zrobi. A tego łobuza i tak przepędzę."

Umocniony nieco w sobie, na nowo niejako życiu przywrócony, potoczył się korytarzem do kuchni. Podniosło go na duchu, że samym swoim pojawieniem uciszył zgiełkliwy harmider. Pomywaczki przestały jazgotać i chichotać. Dwaj hotelowi pikolacy, niepotrzebnie tu obijający boki, spiesznie się gdzieś ulotnili, a gromada kelnerów, przynaglających podenerwowanego kucharza do szybszego wydawania zamówionych potraw, też się uciszyła. „Zimny barszcz, cztery razy! Dwa sznycle po wiedeńsku! Dewolaj, raz! — rozległy się spokojne już całkiem głosy. Tchnienie porządku i dyscypliny przeszło przez kuchnię.

Odetchnąwszy przez moment tym ładem, Słomka, całkiem już w sobie zaokrąglony, wtoczył się do drugiego korytarza. Krótki był ten korytarz, lecz szeroki. Łączył kuchnię z salą bankietową.

Stara Jurgelewiczowa, tak zwana Jurgeluszka, wdowa po zmarłym przed wielu laty portierze Monopolu, siedziała sztywno wyprostowana na niskim stołeczku przy drzwiach tualety i robiła na drutach sweter dla swego wnuka.

Słomka zatrzymał się i zasapał.

— Jakże tam, pani Jurgeluszka?

Jurgeluszka podniosła drobną, króliczą twarz o wyblakłych, starczych oczach.

— Mowy idą.

— Tak?

Począł nasłuchiwać. Spoza zamkniętych drzwi dobiegał donośny i potoczysty głos Święckiego.

— O, sam minister przemawia.

Jurgeluszka obojętnie przyjęła tę wiadomość i zajęła się swetrem. Bardzo kochała swego wnuka Felka, którego sama wychowywała, gdy jej zięć Szymański poległ był we wrześniu, a córka umarła w parę miesięcy później na skutek zakażenia po skrobance.

Słomka boczkiem spojrzał na białe drzwi tualety. Lśniły najdoskonalszą czystością. Jurgeluszka była nieocenioną, doskonale w swym fachu zorientowaną pracownicą.

— Rzygał już kto? — bąknął.

— Skądże? — odpowiedziała spokojnie Jurgeluszka, nie przerywając roboty. — Jeszcze za wcześnie

Słomka podrapał się w nos.

— Hm...

— Wszystko, proszę pana, ma swoją kolejkę — uspokoiła go stara. — Teraz są mowy. A później będą tu jeszcze biegać, będą...

— Nieźle sobie pani dzisiaj zarobi?

— Tak właśnie myślę. Ale to nigdy, proszę pana, nie wiadomo. Przed wojną różne tu bywały bankiety. Raz minister nawet jeden był.

— O! — zainteresował się Słomka. — Który? Jak się nazywał?

— A już nawet nie pamiętam Owszem, postawny taki pan. To mówię panu coś mu zaszkodzić musiało, albo w ogóle słabej był konduity, bo ciągle tu przybiegał. Cały, proszę pana, z przeproszeniem sedes zanieczyścił. I co pan na to powie, grosza nie dał!

— O łobuz! Minister!

— Ale też strasznie był umordowany — wyjaśniła usprawiedliwiającym tonem. — Aż się bałam, żeby nie skonał.

— To by była heca!

— A dajżeż pan spokój! Odstukać trzeba. Nie dał, to nie dał. Drugi da. Nigdy, proszę pana, nie wiadomo, jak Pan Bóg pokieruje ludźmi. Jednych ściska, a drugich po puszcza.

Słomka na palcach podszedł do drzwi.

— Mówi jeszcze? — spytała Jurgeluszka z grzeczności raczej towarzyskiej niż z ciekawości.

Zamachał tylko ręką. Głos Święckiego bardzo wyraźnie było słychać.

— Naszych wspaniałych zwycięstw — mówił — dzisiaj przez historię potwierdzonych, żadna siła nie zdoła ani przekreślić, ani osłabić. Przyszłość do nas należy i my ją będziemy kształtować. Szanowni towarzysze! — natężył nieco głos — jestem szczęśliwy, że właśnie w dniu dzisiejszym w imieniu własnym i was tutaj zebranych, w imieniu miasta Ostrowca, mogę na ręce naszego gościa, towarzysza Szczuki, wznieść toast na chwałę naszej wielkiej, demokratycznej ojczyzny. Niech żyje!

Rumor odsuwanych krzeseł zmieszał się z brzękiem kieliszków i okrzykami: niech żyje!

— Kto niech żyje? — zaniepokoił się Słomka.

— Pewnie solenizant — zauważyła spokojnie Jurgeluszka, robiąc na drutach.

— Jaki solenizant? Nie ma żadnego solenizanta.

— To jubilat.

— Jubilata też nie ma, co pani wygaduje! O Polskę pewnie chodzi...

Jednak te wątpliwości nie przeszkodziły mu odskoczyć w porę od drzwi, które nagle się otworzyły, wyrzucając jednego z wyfraczonych kelnerów.

— Fsst! — skinął na niego Słomka.

Kelner się zatrzymał. Był to zgrabny, wysoki chłopak, świadomy swej urody i manier filmowego amanta. Przed wojną pracował kilka lat w warszawskim „Bristolu" i Słomka wysoko go sobie za to cenił.

— Jak tam, panie Józiu? — spytał przyjaźnie, poruszając po swojemu paluszkami.

Piękny kelner uśmiechnął się z pobłażliwą wyższością.

— Idzie.

— Piją?

— Starczy.

Słomka zatarł dłonie.

— To świetnie! O winach francuskich pamiętajcie. A do kawy likiery. Pani Jurgeluszka, przepowiadam pani dobry wieczór.

W kuchni natknął się na wiadomego łobuza. Otarli się prawie o siebie w przejściu i na moment zetknęli spojrzeniami. Kelner bezczelnie zagwizdał i odwrócił się do szefa plecami zupełnie w ten sam sposób, w jaki przedtem uczynił to był obrażony Puciatycki.

— Panie starszy! — krzyknął w stronę kucharza. — Filety cielęce, dwa razy! Krem z owocami, raz!

Słomkę ścisnęło w dołku. Poczuł, że w jakiś zasadniczy sposób musi wynagrodzić sobie upokarzającą porażkę. Zaprojektowany na jutro połów ryb to nie było to, czego potrzebował. Spod opuszczonych powiek zerknął w stronę pomywaczek. Pierwsza z nich była zdrową i krzepką, z szerokim zadem dziewczyną.

Wycofał się z kuchni i w korytarzu przychwycił za ucho małego garsona.

— Jak ci na imię?

— Tadek, panie dyrektorze.

— Świetnie! Posłuchaj więc, Tadek...

— Słucham, panie dyrektorze.

— Skocz do kuchni i przyślij mi tu Stefkę. Wiesz, która to?

— Wiem, panie dyrektorze.

— Tylko szybko, na jednej nodze.

Zjawiła się po chwili rozgrzana, bardzo na twarzy czerwona, z mokrymi jeszcze rękoma, pachnąca potem i pomyjami. Słomka zadreptał koło niej.

— Stefka!

— Czego? — burknęła niechętnie.

— Przyjdź do mnie za dziesięć minut. Na górę.

— Ale! — oburzyła się. — Jeszcze czego? Dosyć tego dobrego. Już w całym hotelu wycierają sobie mną gęby.

(c. d. n.)

MICKIEWICZ I HERZEN

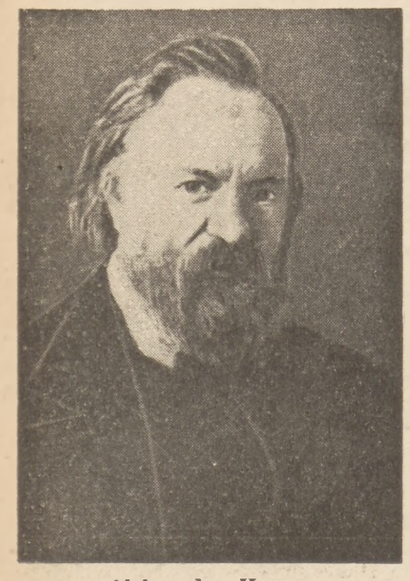

Aleksander Herzen

Aleksander Herzen wszedł do historii literatury rosyjskiej jako pisarz wielkiego talentu, niezrównany publicysta i pamiętnikarz, do historii ruchu rewolucyjnego — jako jeden z czołowych ludzi pokolenia, które powstanie dekabrystów pobudziło do nowego życia.

Herzen stworzył wolną prasę rosyjską na emigracji: „Gwiazdę Polarną", kontynuatorkę tradycji dekabrystów, i „Kołokoł" („Dzwon"), walczący o wyzwolenie chłopstwa rosyjskiego. Lenin podkreśla, że mimo wahań między demokratyzmem a liberalizmem, w Herzenie zawsze koniec końców górował demokrata, że w latach 60-tych stanął po stronie rewolucyjnej demokracji, że walczył o zwycięstwo ludu nad caratem, że wzniósł wysoko sztandar rewolucji.

Składając w 135 rocznicę urodzin hołd pamięci wielkiego rosyjskiego pisarza, demokraty i rewolucjonisty, możemy z dumą podkreślić jego szlachetny i aktywny stosunek do wolnościowych walk narodu polskiego.

Jego sympatia do wolnościowego ruchu polskiego datuje się od wczesnej młodości. Miał lat 18, kiedy wybuchło powstanie listopadowe.

Opisując swoje wrażenia z owego czasu, mówi m. i.: „Wiadomość o powstaniu warszawskim ogłuszyła nas jak wybuch bomby. To przecież tuż, prawie u nas w domu. Patrzymy na siebie ze łzami wzruszenia w oczach i powtarzamy: Nie, to nie są już czcze marzenia! Cieszyła nas każda porażka Dybicza, nie chcieliśmy dać wiary niepowodzeniom Polaków".

Całe swe życie występuje jako rzecznik wolności i niepodległości Polski oraz sojuszu wolnej Polski z wolną Rosją.

W roku 1861, w liście do wydawcy „Przeglądu Spraw Polskich" ma pełne prawo powiedzieć: „Od 1849 r. powtarzaliśmy, że tylko całkowita niezależność Polski może stworzyć podstawy do sojuszu Polaków i Rosjan, jako wolnych z wolnymi i równych z równymi".

W jednym z artykułów w emigracyjnym „Kołokole" pisał, że wznosi toast „za całkowitą i bezwarunkową niepodległość Polski i za braterstwo Polaków i Rosjan.

W swych znakomitych artykułach „Rosja i Polska" Herzen twierdzi: „Polska i Rosja mogą kroczyć wspólną drogą ku nowemu wolnemu życiu społecznemu"... i dalej: „Wolna i niezależna Polska jest dla Rosji lepszym sojusznikiem niż Polska poćwiartowana, poniżona, nienawidząca..."

W czasie powstania styczniowego Herzen wszelkimi siłami starał się poprzeć walczący o wolność naród polski. Szpalty „Kołokoła", rozbrzmiewały jego gorącym wołaniem o pomoc powstaniu, jego płomiennym apelem do rosyjskich oficerów i żołnierzy, aby nie strzelali do powstańców.

„Jesteśmy z Polską dlatego, że chodzi nam o Rosję. Jesteśmy po stronie Polaków dlatego, że jesteśmy dobrymi Rosjanami. Chcemy Polski niepodległej — gdyż chcemy wolnej Rosji. Jesteśmy z Polakami, gdyż łączą nas z nimi wspólne okowy".

Omawiając stanowisko Herzena w czasie powstania styczniowego, jego gorącą obronę wolności Polski i walkę z ciemiężycielami i katami Aleksandra II, Lenin w artykule „Pamięci Herzena" pisze: „Herzen uratował honor rosyjskiej demokracji".

Braterski stosunek Herzena do narodu polskiego i jego walk wyzwoleńczych określił też stosunek pisarza rosyjskiego do największego poety polskiego, Adama Mickiewicza.

Jeszcze podczas pobytu w Rosji, którą musiał bezpowrotnie opuścić w 1847 r., interesował się Herzen twórczością poetycką i działalnością polityczną Adama Mickiewicza.

Potwierdzają to notatki w jego pamiętniku. 22 stycznia 1843, po przeczytaniu „Dziadów" pisze: „...czytałem Mickiewicza. Dużo piękna i wielkiego artyzmu w tym płaczu poety. Mój Boże, jak piękny jest jego opis rosyjskiej drogi w zimie".

W dzienniku swym wspomina też o mickiewiczowskich wykładach literatury słowiańskiej. Pod datą 12 lutego 1844 notuje: „Wykłady Mickiewicza w Collège de France w 1840 — 1842 r. Bez wątpienia piękna cecha słowiańska — wiara w przyszłość, jest tym piękniejsza u Polaków, którzy ojczyznę swą mają w sercach".

Po przeczytaniu „Wykładów", Herzen, choć nie zgadza się z mesjanizmem Mickiewicza, znajduje w nich „wielkie piękno i prorocze myśli".

Osobiste poznanie Herzena z Mickiewiczem nastąpiło w 1849 r. w Paryżu, podczas przyjęcia u Mickiewicza, w przeddzień ukazania się pierwszego numeru „Trybuny Ludów".

„Interesowała mnie na tym przyjęciu — pisze on — tylko jedna osoba: Adam Mickiewicz. Przedtem nigdzie go nie widywałem. Ujrzałem go stojącego przy kominku. Kto widział jego portret we francuskim wydaniu dzieł — mógł poznać go od razu. Twarz jego, bardziej litewska niż polska, tchnęła zadumą i cierpieniem. Cała jego postać, głowa o wspaniałej siwej czuprynie, znużone spojrzenie, wyrażały przeżyte cierpienia, ból wewnętrzny i gorycz. Był on jak gdyby upostaciowaniem losów Polski".

Między Herzenem i Mickiewiczem wywiązała się ożywiona rozmowa. Mickiewicz wypytywał o Rosję, o ruch literacki w Rosji.

Herzen nie ukrywał rozbieżności ideowej z Mickiewiczem. Nie zgadzał się z ideami mesjanizmu. „Nie katolicyzm zbawi świat słowiański i pobudzi go do życia" — pisze on w dzienniku. I dalej — „Ale Polska będzie zbawiona niezależnie od mesjanizmu i papizmu".

Mesjanizm Mickiewicza nie przesłonił jednak Herzenowi Mickiewicza jako wielkiego poety, jako bojownika o wolność ojczyzny, o wolność ludów, o braterstwo Słowian.

Herzen rozumiał mesjanizm Mickiewicza i nie potępiał go, jak nie potępiał swego przyjaciela Czaadajewa, który wrócił z Europy, oczarowany katolicyzmem.

Różnica poglądów ujawniła się przy pierwszym spotkaniu Herzena z Mickiewiczem. Na wspomnianym wieczorze Mickiewicz wygłosił mowę, nacechowaną entuzjazmem dla „idei napoleońskiej". Herzen, który, według słów Lenina, przeklinał liberalizm, popierający Napoleona III, nie mógł zgodzić się z Mickiewiczem.

Przeciwko tezom Mickiewicza wystąpił z płomienną mową 70-letni rewolucjonista hiszpański, Ramon de la Sagra. Większość obecnych poparła go, między innymi i Herzen.

Jednakże w tym wypadku, jak i w każdym innym, Herzen przede wszystkim widział w Mickiewiczu to, co ich łączyło w dążeniu do wspólnego celu, a nie to, co ich dzieliło.

Pisząc o tym wieczorze, Herzen określał Mickiewicza jako człowieka „oddanego duszą i ciałem swym przekonaniom i żyjącego nimi". Podkreśla on fakt, że Mickiewicz był jednym z pierwszych, którzy rozwinęli ideę „braterstwa wszystkich słowiańskich narodów".

Herzen wspomina, że pił za zdrowie Mickiewicza w Moskwie w 1843 na oficjalnym przyjęciu. Chomiakow wzniósł wtedy toast ze słowami: „Za wielkiego, a nieobecnego poetę słowiańskiego!" Imienia poety nie odważono się wypowiedzieć na głos. Było to zresztą zbyteczne: i tak wszyscy wiedzieli o kim mowa, i bez słów, stojąc wypili zdrowie wygnańca.

Herzen nie mógł nie widzieć w Mickiewiczu swego sojusznika w walce o zjednoczenie słowiańskich ludów w celu umożliwienia im swobodnego rozwoju społecznego i kulturalnego życia.

Zarówno Mickiewicz w swych paryskich wykładach, jak i Herzen w swych artykułach sławili wielkość ducha słowiańskiego, kulturę narodów słowiańskich i ich zasługi wobec ludzkości. Tak jak Mickiewicz, widział Herzen powagę niebezpieczeństwa, jakim dla słowiańskiego świata były wrogie Niemcy, i potępiał niemieckich uczonych, historyków i publicystów, którzy starali się pomniejszyć, poniżyć, wręcz negować udział słowiaństwa w postępie ludzkości. „We współczesnych publicystach niemieckich nie trudno poznać mieszczańskich braci rycerzy krzyżowych" — pisał Herzen. A w innym miejscu: „Przeczytajcie artykuły niemieckich demokratów, przechwalających się swym kosmopolityzmem, a ujrzycie tam nienawiść nie tylko do wszystkiego co rosyjskie, ale i słowiańskie w ogóle".

Stosunek swój do roli Mickiewicza jako bojownika o jedność i wielkość ludów słowiańskich wypowiedział Herzen wyraźnie w liście do francuskiego historyka Micheleta, w odpowiedzi na artykuł jego o T. Kościuszce, w którym atakuje Rosję.

„Czas już zapomnieć o braterskiej walce — pisze Herzen. — Nie ma między nami zwycięzcy. Powołuję się, jak Pan, na Pańskiego przyjaciela, wielkiego poetę Mickiewicza. Nie należy, mówiąc o jego poglądach, twierdzić, że „miłosierdzie — to święta omyłka". Nie — to owoc długich i uczciwych rozmyślań, głębokiego zrozumienia przeznaczeń słowiańskiego świata. Świat słowiański dąży do jedności. Dążenie to ujawniło się po okresie napoleońskim. Myśl o federacji Słowian świtała w planach rewolucyjnych Pestela i Murawiewa.

Być może, że podczas powstania 1830 r. dominował w Polsce nacjonalizm i zupełnie zrozumiała wrogość. Lecz od tego czasu działalność Mickiewicza, historyczne i filozoficzne prace wielu uczonych Słowian, głębsza znajomość narodów europejskcih, okupiona drogą ceną wygnania, zmieniły kierunek myśli..."

Powołując się na wielki autorytet znakomitego polskiego poety, Herzen zakończył swą odpowiedź następującymi słowami:

„Czy nie mamy prawa uważać Rosji za ośrodek krystalizacyjny dążeń słowiańskiego świata do jedności, tym bardziej, że dotychczas Rosja jest na razie jedyną częścią słowiańskiego plemienia, która uformowała silne i niezawisłe państwo.

Mickiewicz był dla Herzena symbolem i upostaciowaniem Polski, jej cierpień, jej piękna, wielkości i przyszłego rozkwitu. Wyraził on to w swej odezwie do Polaków podczas powstania: „Bracia — Polacy! bez względu na to, czy zginiecie w nieprzebytych lasach „mickiewiczowskich", czy wrócicie jako wolni do wolnej Warszawy... świat nie może nie podziwiać Was".

Gdy w 1859 r. przeczytał wiadomość, że w Warszawie zabroniono odprawiać nabożeństwo żałobne za Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, natychmiast umieścił notatkę w „Kołokole" pod tytułem „Nowa podłość w Polsce", w której wyraził swe oburzenie i protest z właściwą sobie żywością i zdecydowaniem.

Bojownikiem o wolność swej ojczyzny, rzecznikiem braterstwa narodów słowiańskich, przyjacielem Puszkina i gnębionej caratem Rosji był dla Herzena wielki poeta polski.

Symbolem zjednoczenia postępowych elementów narodu polskiego i rosyjskiego w walce za wolność i prawo był i pozostał Herzen.

Łączymy te dwa wielkie nazwiska dziś, kiedy urzeczywistniły się już marzenia o zjednoczeniu równouprawnionych, niezależnych słowiańskich narodów, o braterskim sojuszu wolnej Rosji z wolną Polską.

Marek Żywow

przełożyła **J. Boguszowa**

„Scena z „Marsylianki".

»MARSYLIANKA«

I

W filmie tym, którego tematem jest Francja okresu Wielkiej Rewolucji, uderza siła akcentu, jakiej scenarzyści i reżyser użyczają zjawiskom, które ukazują analogię do zjawisk ostatniej wojny. Autorowie „Marsylianki" akcentują uporczywie łączenie się francuskich warstw reakcyjnych z wrogiem Francji, z reakcyjnymi Prusami, i podejrzliwość, jaką przeciwko tym warstwom propagują obrońcy Francji nowej. Gdyby film powstał po wojnie, skłonni bylibyśmy dopatrywać się w nim perspektyw w przeszłość, dorysowywanych do kolaboracjonizmu i ruchu oporu: a że film powstał przed wojną, ma w sobie nie refleksje ex post, lecz ostrzeżenia ex ante.

Podejście do tematu ma jeszcze inną osobliwość. Od pierwszej chwili wywołują w nas zdziwienie postacie, którym przypada rola podniet w akcjach rewolucyjnych. W wielkiej sali marsylskiego Klubu Przyjaciół Konstytucji przemawia orator, którego twarz i oczy pozbawione są gorąca, a wsparcie ramion na pulpicie i skręty tułowia wydają się niezgodne z jego zapalnymi słowami. Po nim handlarka ryb daje nieprzekonywającą relację o śmierci kochanka, wywodząc, że wprawdzie zginął zastrzelony w ucieczce, ale uciekał, bo czuł wokół siebie zdradę; brzydka brzydotą utrwalaną zniekształceniami duszy, wnosi jeszcze w swoją mowę skośne spojrzenia i zgoła dla niej niepochlebne podrzuty barku. I w niej i w jej poprzedniku czujemy fałsz. Przypuszczamy, że bieg zdarzeń odsłoni go, że ukaże nam w tych ludziach może nawet zdrajców rewolucji. Gdy to nie następuje, nasuwa się nam myśl, że nasze podejrzenia wywołała zła gra aktorów. Ale i ta myśl nie utrzymuje się do końca. Wyszedłszy z kina, rozmyślając nad całością filmu, zaczynamy przypisywać jego autorowi tendencję: degradowania jednostek - podniet na korzyść bezimiennej masy, a nawet degradowania motywów Wielkiej Rewolucji.

Interpertację tę zdają się potwierdzać filmowe losy marsylianki-pieśni. Gdy daje się słyszeć po raz pierwszy, nie czyni na słuchaczach szczególnego wrażenia; nie tyle wsłuchują się w pieśń, ile wpatrują się w dziwaka, który ją śpiewa. A i potem prosty człowiek nie odnajduje w niej swoich ideałów. Najsilniejsze wzruszenie budzi, gdy towarzyszy pożegnaniu ochotników z kobietami, gdy staje się pieśnią odmarszu. Potem rytmizuje tylko kroki marsylskiego batalionu, wkraczającego na plac paryski, przechodzi w krzyk bojowy przy wtargnięciu do królewskiego pałacu. Pod koniec — jakby symbolicznie — zatraca swoje słowa i jest już tylko bezsłowną melodią orkiestralnego marsza wojskowego. Ani raz nie wybucha jako zaklęcie dalekiej przyszłości.

II

Nie ma ten film fabuły dramatycznej, nie ma pasjonującej intrygi, nie ma zręcznie zawieszonej nitki miłosnej, nie ma jednostek o psychice obfitej. Jego treścią są koleje marsylskiego batalionu, rzucone na tło czasu. Reżyser Jean Renoir podjął zadanie równie ambitne, jak trudne.

W naszych kinach film nie podoba się. Na widowniach nie zajęte krzesła zlewają się w rozległe polany pustki. Nie można dziwić się: film ten omija źródła łatwych wzruszeń, źródła zaś, do których podchodzi, albo zawodzą, albo tryskają napojem, wymagającym wysokiego znawstwa.

Zawodzą przede wszystkim te partie, które spoczywają na jednostkowym aktorze. Jeśli pominąć rolę Ludwika XVI, którą Pierre Renoir podaje arcymistrzowsko, jeśli pominąć u innych kilka momentów szczęścia, cała reszta gry jednostkowej ma w sobie w najlepszych wypadkach poprawność. Louis Jouvet, któremu z okazji filmu „U schyłku dnia" poświęciłem artykuł pełen podziwu, w tym filmie aż drażni.

Czy te niedomagania wynagradza gra gromadna?

Odpowiedź wymaga rozróżnień. Kiedy po wyjściu z kina odnawiam film w pamięci, urywki zebrań i zgromadzeń, przemykające przez moją wyobraźnię, nie przynoszą ze sobą nic szczególnego. Ile razy w zasłuchaniu pojawiają się zgromadzeni ludzie, rażą brakami. Ani ogólna kompozycja ludzkich mas, ani wydzielane z nich grupy, ani wybłyskujące z nich twarze czy odruchy nie dają owych frapujących efektów, które dla filmów z ludzkimi masami stały się niemal obowiązkowe. Początkowo myślę, że Jean Renoir uznał tamte efekty za wyczerpane, za nie dopuszczające dalszych rozwinięć, a znanych powtarzać nie chce — z obawy przed znudzeniem widza i z szacunku dla samego siebie. W miarę jak umysł godzi się z przypuszczeniem, że autorami filmu kierowała intencja polityczna, oparta — jak zwykle — o odpowiednią historiozofię, sprawa ukazuje się inaczej; myślę teraz, że reżyser traktował zgromadzonych tendencyjnie, że celowo roztapiał ich w przestrzeni, zanurzał w bladość lub w półmrok, że celowo tworzył ich z płócienności, jak gdyby chciał powiedzieć, że tu na tym zgromadzeniu nie znajdują wyrazu dla pełni swych przeżyć, że marzą o czymś więcej, niż im mówią słowa mówców, że wygłaszane przemówienia nie są zdolne do wydobycia na twarze słuchaczy tego wszystkiego, co mieszczą ich dusze. I zaraz myśl następna: takie potraktowanie gromad wiąże się konsekwentnie z potraktowaniem marsylianki-pieśni. Lecz nawet gdyby te myśli odpowiadały rzeczywistym intencjom reżysera, to i tak artystyczną realizację tych intencyj należałoby ocenić ujemnie. Z tego, co od reżysera otrzymały gromady w zasłuchaniu, nic nie ma wymowy.

Inna gromada jest pięknem tego filmu: gromada w ruchu! Kształtuje ją reżyser „Marsylianki" z nieprześcignionym kunsztem. Aby dać właściwy wyraz wzruszeniom, jakie w nas wywołuje, trzeba by o tym reżyserze powiedzieć: muzyk gromadnego ruchu! Słowa zachwytu należą się nawet swobodnemu marszowi Marsylczyków, w którym rozmieszczenie ludzi na szosie, ich trzymanie się, ukierunkowanie ich ruchu i rytm ich chodu, składają się na całość czarującą. Chwilami wydaje się, że Renoir odkrył dla ruchów ekranowych jakieś nowe formuły arytmetyczne, że znalazł dla nich jakieś złote proporcje. Oczywiście taki muzyk ruchu zdobywa sukcesy także przy podejmowaniu tematów niemasowych. Spośród nich wyróżnia się mistrzowskim poczuciem formy ekranowej przepiękny epizod ruchowy, którego przedmiotem jest ciemna i cieniem spłaszczona beczka, okrążająca prostopadłą krawędź więziennego fortu. Innymi walorami wnika w pamięć i długo w niej tkwić będzie olbrzymie zbiorowisko ludzi, wypełniające plac marsylski nie dla słuchania mów, lecz dla pożegnania ochotników, zbiorowisko ukształtowane z rzadko spotykaną siłą oryginalności i z prawdą — wspaniałą.

III

Kto czuje moce, prężące się w sztuce ekranowej, kto w chwilach jasnowidzeń wyobraża sobie wyraźnie, jak mowa dźwięków z nieprzewidywanym dziś znaczeniem wtargnie kiedyś na ekran jako czynnik dramatu, ten śledzi uważnie, życzliwie, ciepło, każdy — choćby najdrobniejszy — postęp, jaki filmowa dźwiękowość uzyskuje w technice fabrycznego wyrobu lub w sztuce reżyserów.

Tym ciepłym „śledztwom" przynosi film Renoira kilka szczegółów godnych zanotowania.

Zmiana warty w pałacu królewskim. Dla scharakteryzowania dryłu, podpierającego monarchię absolutystyczną, wystarczyłoby wydobyć z ustępującej gwardii tylko kilka wytresowanych kroków; reżyser „Marsylianki" poświęca jej o wiele więcej czasu, bo pragnie zużytkować dźwiękowe zasoby sytuacji; żołnierskie obcasy, wtupujące się w pałacową posadzkę, wydają łoskot coraz mniej natężony, w miarę jak oddziałek gwardyjski wmaszerowuje w głąb długiego korytarza. To stopniowe przycichanie tupotu nie posiada w tym wypadku żadnej niemal wartości artystycznej, ale interesuje jako studium dźwiękowe, sprawdzające ułomną realizacją teraźniejsze możliwości techniki dźwiękowej. Podobnie ma się rzecz z szurgotem obcasów Ludwika XVI, gdy bezradny i bezsilny zamyśla się nad manifestem księcia Brunszwiku. Zamierzony efekt nie rodzi się, ale poronienie jest w tym wypadku wróżbą szczęśliwych narodzin przyszłych, wróżbą zdobyczy, dzięki którym sztuka ekranowa będzie sposobami niewypowiedzianie ekspresyjnymi charakteryzowała człowieka, jego czyny i przeżycia.

Innym prognostykiem jest działanie dzwonów kościelnych. Kiedy słyszymy je po raz pierwszy, dźwięki ich podtrzymują wokół sprawy Ludwika XVI atmosferę dawną, otaczają królewskość myślami uroczystymi i ciągle jeszcze wiarą; gdy słyszymy je po raz drugi, gdy sprawie króla grozi już ostateczna przegrana, zupełnie inaczej dźwięczą dzwony, bo niektóre z nich w ogóle już nie dźwięczą, a oprócz tego odzywa się dzwon wcale przedtem nie słyszany i wnosi w powietrze ton smętny, i złowróżbny. Artystycznie efekt jest udały, ale jeszcze ważniejsze jest to, że mowa dzwonów Renoira pobudza nas do rojeń o tym, co film dźwiękowy da dramatowi — kiedyś w przyszłości. Działanie dźwięków — chciałoby się powiedzieć — atmosferyczne, działanie, wnoszące w zmienne miejsca akcji nastroje służące ważnym momentom akcji, działanie wychodzące z wewnętrznych zdarzeń dramatu, a nie z muzycznych wstawek, wyposaży sztukę ekranową w nowe źródła mocy własnej.

Tadeusz Peiper

Spółdzielnia Wydawnicza „KSIĄŻKA"

POWIEŚĆ — NOWELA

ARAGON L. — Niewola i wielkość Francji, str. 164, zł. 150.
Tłumaczył Jan Kott, okładkę projektowała Olga Siemaszkowa. (Jest to szereg obrazków ilustrujących postawę narodu francuskiego w okresie wojny i okupacji niemieckiej.

GAŁAJ J. — Mystkowice wioska mała,
tom I — Paweł Łękis, str. 224, zł. 250.
tom II — Kameleony, str. 400, zł. 350.
tom III — Krystalizacja, str. 292, zł. 250.
(realistyczna powieść z życia chłopów spod Łowicza, gdzie urodził się i spędził dzieciństwo i młodość Julan Gałaj. „Mystkowice wioska mała" jest debiutem autora. Powieść została przyjęta przez całą prasę polską z wielkim uznaniem).

MAKARENKO A. — Poemat pedagogiczny. Przekład B. Rafałowskiej.
tom I. str. 284, zł. 120.
tom II. str. 228, zł. 180.
tom III str. 295, zł. 270.
(Jest to jedna z najciekawszych pozycji literatury radzieckiej. „Poemat pedagogiczny" — to rodzaj pamiętników wychowawcy na kolonii im. Gorkiego z lat 1921 — 1923, założonej przez autora dla chłopców zaniedbanych moralnie. Książka posiada interesującą akcję, żywe postaci, dobrą konstrukcję, jasny bezpretensjonalny a bardzo plastyczny język i wiernie odmalowane ówczesne stosunki w Związku Radzieckim).

MILLEROWA I. — Nowele, str. 45, zł. 50.
(Nowele z czasów okupacji niemieckiej pisane w ludowej gwarze mazowieckiej. Jedno z opowiadań nagrodzone zostało na konkursie „Głosu Ludu" w lutym 1946 r.)

NORTON J. Inkluzowe wiano, str. 328, zł. 280.
(Realistyczna powieść z życia chłopskiego. Książka Nortona wywołała szeroką dyskusję na łamach całej niemal prasy polskiej, zerwała bowiem z beztroską i barwną sielanką wiejską a wprowadziła czytelnika w codzienny byt chłopów. „Inkluzowe wiano" ukazuje wieś polską w okresie popańszczyźnianym — jej zacofanie, przesądy i wiarę w złe siły oraz budzenie się w niej sił postępu.

OTWINOWSKI ST. — Nagrobek, str. 144, zł. 120.
(Opowiadanie Otwinowskiego jest próbą zamknięcia okresu przedwojennego, okresu martwoty i beznadziejności, i postawienia mu nagrobka. Jest również zapowiedzią „czasów ludzkich", w których człowiek będzie mógł odnaleźć swe miejsce. Siedliskiem opisywanego okresu jest ziemiaństwo, bohater książki boryka się całe życie z dziedzictwem zatruwającym jego psychikę).

PAPUGA J. — Szczury Morskie, str. 184, zł. 200.
Pierwsza po wojnie książka marynistyczna literata samouka. W opowiadaniach zawarte są dzieje walk i tułaczki polskich marynarzy w służbie floty alianckiej z czasów ostatniej wojny. Bogactwo wrażeń oraz świeżość podejścia cechują nowele zawarte w tym tomie).

PRIESTLEY J. — Trzej panowie w cywilu, str. 216, zł. 250. — Tłuczyła Melania Wassermanówna
(Trzech zmobilizowanych młodzieńców po powrocie z armii do kraju zastaje zmienione warunki. Farmer, robotnik i ziemianin, każdy na odcinku swego życia osobistego, szukają rozwiązania ogólnych problemów nurtujących współczesną Anglię.

RUDNICKI A. — Wielkanoc str. 48, zł. 20.
Uśmiech żandarma, str. 24, zł 35.
Czysty nurt, str. 44, zł 15.
Józefów, str. 16, zł 10.
Profile i drobiazgi żołnierskie, str. 152, zł 60.
Koń, str. 24, zł 18.
Mjr. Hubert z armii Andersa, str. 28, zł 15.
Wrzesień, str. 68, zł 35.
Lato, str 188, zł 120.
(W nowelach swych Rudnicki dotyka najaktualniejszych zagadnień sprawy ludzi zniszczonych psychicznie przez wojnę (Czysty nurt) („Wielkanoc"), sprawy największej naszej bolączki społecznej—alkoholizmu („Uśmiech żandarma"), sprawy powrotu andersowców (Mjr. Hubert z armii Andersa").
Nowele pisane na obczyźnie (Józefów) tchną tęsknotą za Polską, wzruszają swą serdecznością. („Koń") — ukazuje ciężkie życie i bezimienną śmierć Zachariasza Kagana, dzielnego towarzysza, bojownika wielkiej sprawy w Polsce przedwrześniowej. „Wrzesień" — wprowadza znów w czasy pierwszych walk z Niemcami, ukazuje bohaterstwo żołnierzy i nieudolność dowództwa. „Profile i drobiazgi żołnierskie" — jest to drugie wydanie utworu, który przed wojną nosił tytuł „Doświadczenia" Opisuje w nich autor z realistyczną wiernością drobne sprawy koszar, daje spojrzenie na wojsko od strony zwykłego szeregowca. „Lato" jest utworem przedwojennym. Są to reportaże poetyckie z pobytu na letnisku w Kazimierzu nad Wisłą).

WASILEWSKA W. — Ojczyzna, str. 160, zł. 120.
(Powieść z życia chłopskich wyrobników na pańskim dworze, z życia „ludzi z czworaków" Autorka maluje nędzę fornalskiego bytowania, wyzysk dworu i daje wyraz tęsknocie za chłopską pracującą ojczyzną.)

K.148-1

Odczynianie „żeromszczyzny"*)

Obecnie, kiedy trzecia już generacja zaczęła obcowanie z dziełami Żeromskiego, nasuwa się niepokojące pytanie, kim będzie dla nowego czytelnika nowej, gruntownie odmienionej epoki ten pisarz, którego twórczość — jak stwierdzał w patetycznej nieco, ale w zasadzie słusznej formule Wacław Borowy — stanowiła „duchowy chleb dwóch pokoleń"? Pytanie aż nadto uzasadnione! Przecież nie kto inny, ale właśnie tenże Borowy uważał za konieczne w dziesięć lat po śmierci wielkiego pisarza wytoczyć proces rewizyjny pozostawionym przez Żeromskiego wartościom. Była to surowa, nicująca do gruntu rewizja: nietknięte pozostały jedynie „Syzyfowe prace" i „Wierna rzeka". Poza tym w apodyktycznym wyroku można było wyczytać, że Żeromski nie umiał gospodarzyć swoim wspaniałym talentem, że wspaniałości jego zatracają się w cieniu konstrukcyj, które dawniej budziły silny oddźwięk — zarówno w sensie aprobaty, jak i negacji, ale z biegiem czasu coraz bardziej odsłaniają brak waloru artystycznego.

Żeromski to pisarz — jeden z nielicznych — za którego życia jeszcze utworzono wartościujący jego dorobek termin: „żeromszczyzna". Mieści się w tym terminie to wszystko, co w tej niepospolitej twórczości było charakterystyczne i istotne, ale co przybierało często, za często niestety, formy wynaturzone: a więc przerost uczuciowego stosunku, obejmujący i samo słowo tworzywa, i krajobraz, i człowieka z jego przeżyciami, i stosunki międzyludzkie i naiwne (nie tylko z dzisiejszej perspektywy) pomysły regulowania zagadnień społecznych. To właśnie wszystko, co jest „żeromszczyzną", jest tym bakcylem, który powoduje uwiąd niektórych partyj dorobku Żeromskiego, pozbawia go żywotności, zdolności do oddziaływania, uniemożliwia czytelnikowi akceptację.

Tego rodzaju sąd o pisarzu, z którego działalnością związane są bądź co bądź najpiękniejsze karty rozwoju naszej literatury, bez którego na pewno nie byłaby ona tym, czym jest, musiał zaskoczyć opinię publiczną w momencie dokonywania rewizji jego twórczości. I zaskakuje jeszcze dzisiaj. U nas przecież przywykło się kanonizować wielkości globalnie: w stosunku do uznanej wielkości nie przystoi żadna analiza, obowiązkowy jest jedynie nabożny pokłon. Zapomina się jednak, że jest to sposób mumifikowania a zatem zaprzepaszczania tego, co powinno być wprowadzone w żywy obieg kulturalny. W międzywojennym dwudziestoleciu krytyka nie wypełniła zadań kontrolera i pośrednika żywych tradycyj kulturalnych. Za mało było tego rodzaju odświeżających procesów rewizyjnych. Te, które zaczęto — w stosunku do Fredry (Boy-Żeleński), Sienkiewicza (O. Górka), Kasprowicza (H. Elzenberg), Brzozowskiego (L. Fryde, Stawar), zostały z miejsca zastopowane; nie ruszono zaś wcale np. Wyspiańskiego, który prosi się o podobny przywracający mu życie proces.

Wybór „Nowel, opowiadań i fragmentów" Żeromskiego, dokonany przez Kazimierza Wykę, można uważać za dalszy ciąg rozpoczętego przed wojną procesu rewizjonistycznego w stosunku do autora „Syzyfowych prac". Wyka wypełnił swoje zadanie metodą nie negatywną, lecz — żeby tak powiedzieć — konstruktywną. Wybór, którego dokonał, obejmujący głównie utwory z ówczesnego okresu twórczości Żeromskiego, ma intencję nie tylko podkreślenia istotnie nieprzemijających, bezspornych (z pewnymi może wyjątkami) wartości tych nowel i opowiadań. Chodzi w nim również o zwrócenie uwagi na to, że wczesne te utwory są w pełnej rozciągłości reprezentatywne dla twórczości Żeromskiego, że zawierają wszystkie prawie problemy i motywy, przewijające się przez całą twórczość (rodzaj ideologicznego i artystycznego skrótu — jak określa wydawca). A ponieważ utwory te są wolne od cech „żeromszczyzny", przeto nadają się najlepiej do wprowadzenia nowego czytelnika w obcowanie z dziełami Żeromskiego.

Pomysł więc podania nowemu czytelnikowi odczynionego z „żeromszczyzny" Żeromskiego, jako przewodnika po zawiłych drogach jego twórczości — należy uważać za trafny i kapitalny. We właściwy sposób wiąże on współczesność z żywą tradycją kulturalną. Czytelnik, który zetknie się z Żeromskim bezpośrednio u nieskażonych jeszcze źródeł jego twórczości, otrzymuje możność rozpoznania w późniejszych utworach tych wartości, które są i będą długo jeszcze żywe. Żeromski bowiem i dla trzeciego pokolenia czytelników pozostanie pisarzem, wobec którego niemożliwa jest obojętność. Chociaż nie wszystko w nim jest do przyjęcia. Słusznie stwierdza Wyka w słowie wstępnym: „Żeromski jest pisarzem, przez którego przejść trzeba, zwłaszcza za młodu. Ten sam Żeromski jest równocześnie pisarzem, przy którym nie wolno pozostać. Zwłaszcza w wieku dojrzałym, kiedy przestajemy poznawać, o ile świat jest niedoskonały, a stajemy się odpowiedzialni za to, że mamy go urządzać lepiej i mądrzej. Będąc „sercem nienasyconym", na pewno nie jest Żeromski „pochodnią w mroku".

H. E. Michalski

*) Biblioteka „Czytelnika". Tom I. **Stefan Żeromski**. Nowele, opowiadania i fragmenty. (Wybór). Wstępem i objaśnieniami opatrzył **Kazimierz Wyka**. (Kraków). „Czytelnik". 1946; str. 326 i 2 nl

O tak zwanych „Dziadach Kostomarowa"

Zapewne przypadek sprawił, że w ciągu ostatnich miesięcy kilka osób, interesujących się Mickiewiczem, zwróciło się do mnie z zapytaniami, czy nie natknąłem się w moskiewskich archiwach i bibliotekach na tzw. „Dziady Kostomarowa".

Na moją prośbę dyrekcja Państwowego Archiwum w Moskwie sprowadziła teczkę z dokumentami dotyczącymi Kostomarowa z Leningradu, z byłego archiwum III Wydziału Sobstwiennoj Jewo Impieratorskawo Wieliczestwa Kancelarii. Teczka opatrzona jest numerem 81 cz. 3 2971 i nosi datę 1847 r. Między dokumentami, zebranymi w tej teczce, znajduje się rzeczywiście rękopis „Dziadów".

Mikołaj Iwanowicz Kostomarow, prof. historii Rosji w kijowskim uniwersytecie, był założycielem tajnego bractwa imienia Cyryla i Metodego. Celem bractwa było uzyskanie na drodze legalnej autonomii i konstytucji dla Ukrainy. Wiosną 1847 r., tj. dokładnie 100 lat temu, władze carskie wpadły na trop bractwa, aresztowały wielu jego członków, między innymi samego Kostomarowa.

Wśród dokumentów, zabranych przez policję podczas rewizji u Kostomarowa, znalazł się i rękopis w polskim języku. III Wydział bardzo się tym rękopisem zainteresował. Świadczą o tym liczne pytania, zadawane w tej sprawie Kostomarowowi w czasie rozprawy. Jedno z tych pytań i odpowiedź Kostomarowa przytaczam w polskim tłumaczeniu:

— „Kto jest autorem dramatu pisanego w języku polskim, którego wstęp zawiera oszczerstwa przeciwko rządowi Rosji, a bohaterami są polityczni przestępcy Rosji? Od kogo Pan ten dramat dostał, dla jakich celów Pan go przechowywał i czy oddawał Pan go komukolwiek dla sporządzenia kopii?"

Odpowiedź brzmi: „Autorem dramatu pisanego w polskim języku jest Mickiewicz. Nie czytałem go. Gdy byłem jeszcze nauczycielem, odebrałem go od ucznia. Uczeń był za to przez inspektora ukarany. Nikomu go nie dawałem i nikomu nie pokazywałem. Przechowywałem go u siebie na podstawie przysługującego profesorom zezwolenia na posiadanie zakazanych utworów. Do dnia dzisiejszego nie znam jego treści, wiem tylko, że autorem jego jest Mickiewicz i że nosi tytuł „Dziady".

Nawiasem mówiąc odpowiedź Kostomarowa, jak i wiele innych jego odpowiedzi, odbiega od prawdy. Jest mało prawdopodobne, żeby Kostomarow, mając u siebie w domu rękopis „Dziadów", nie znał treści utworu, tym bardziej, że władał polskim językiem. Rękopis był prawdopodobnie czytany na zebraniach bractwa.

Rękopis, przechowywany wśród dokumentów Kostomarowa jest odpisem III części „Dziadów" do słów 8-ej sceny — „Senator: — Ślepa? kto to ona? Lokaj: Pani Rollison". Zawiera bardzo wiele błędów, co świadczy o tym, że nie jest odpisem z pierwszej ręki, że łańcuch, który łączył Drezno z Kijowem, miał bardzo wiele ogniw. Niektóre błędy są humorystyczne i chociażby dlatego warto je przytoczyć. Np. w wierszu *„spalitbym jak proch lekko z otwartej panewki"*, słowo *„panewki"* zastąpione jest przez *„poszewki"*. W wierszu *„znajdzie truciznę, proch, parę"* zamiast *„truciznę"* jest *„trzcinę"*, w wierszu *„mam ja za sobą wojska i mocy i trony"* słowo *„mocy"* zastąpione jest przez *„mory"*. W wierszu *„jeszcze o jeden stopień w dumę go podźwignąć"* słowo *„w dumę"* przeinaczono *„w duszę"* itd.

Przypuszczam, że przytoczone błędy są wystarczającym dowodem, że tzw. „Dziady Kostomarowa" nie są rękopisem Mickiewicza. Mimo to są ciekawym dokumentem, świadczącym, że utwory Mickiewicza, a zapewne szczególnie III. część „Dziadów", docierały nie tylko do Polski, ale i do Rosji w odpisach robionych w tajemnicy, mimo grożących za to poważnych kar.

Tylko w tej mierze „Dziady Kostomarowa" mogą nas interesować.

Samuel Fiszman

KORESPONDENCJA

Do redaktora „Odrodzenia"

Proszę o przekazanie należnego mi honorarium za „Pęczek fiołków" („Odrodzenie", nr 124) na akcję pomocy dla powodzian.

Ewa Szelburg-Zarembina
(Warszawa)

Spółdzielnia Wydawnicza »Książka«

Anatol France. — **Wyspa pingwinów**, str. 280, zł. 320.—.
Tłumaczenie Jana Stena.
(Niezrównany ironista ujął w tej książce historię Francji w formie alegorii. Powieść France'a, tak jak inne jego utwory, cechuje dyskretny humor i głębia filozoficznego ujęcia).

Anatol France. — **Wspomnienia mego przyjaciela**, str. 210, zł. 320.—.
Tłumaczenie Gabriela Karskiego.
(W książce tej wprowadza nas autor w tak mało znany świat maleńkich ludzi - dzieci, które raduja się i cierpią, mają bardzo różnorodne przeżycia, o których mimo bliskiej z nimi zażyłości, tak mało wiemy i które tak rzadko rozumiemy. „Wspomnienia mego przyjaciela" pozostawiają wrażenie czystej, chłodnej krynicy napotkanej na upalnej i zapylonej drodze życia).

TRYBUNA WOLNOŚCI

Tygodnik polityczno-społeczny w numerze pierwszomajowym przynosi:

1. **Józef Kowalczyk** — Gdy 1-go Maja załopoczą Ludowe Sztandary.
2. **Władysław Broniewski** — Twarde ręce.
3. **Eugeniusz Szyr** — Na drodze odbudowy.
4. **Tadeusz Daniszewski** — Pierwsze obchody majowe.
5. **Zygmunt Młynarski** — Ksiądz Józef Meier.
6. **Jerzy Górski** — Demokratyczna przebudowa Niemiec i jej wrogowie z obozu Schumachera.
7. **Włodzimierz Sokorski**. Praca kulturalno-oświatowa Zw. Zaw.
8. **Franciszek Kusto** — Rozwój gminnej spółdzielni chłopskiej.
9. **Józef Niemiec** — Pod znakiem wyborów do samorządu spółdzielczego.
10. **Melania Kierczyńska** — W odpowiedzi Prof. Chałasińskiemu.
11. **Zofia Wojtowicz** — Przeszczepiony pęd zakwita.
12. **Juliusz Wirski** — Dębowiec — nowe źródło bogactwa.
13. **Edward Chmielewski** („Mały") — W walce z okupantem.
14. **Jerzy Krystek** — Wojsko Polski Ludowej.
15. **Janina Broniewska** — Stare fotografie.
16. **Adam Schaff** — Geneza marksizmu.
17. **A. Starewicz** — Stołeczna organizacja PPR w dniu 1-go Maja oraz szereg innych artykułów.

K. 151—1

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

HISTORIA

Stephen Vincent Benét. Ameryka. Przekład **Zofii Łempickiej.** Warszawa, S. Arct, 1946; str. 107 i 1 nl. 120 zł.

„Przeszłość — Przyszłość". Biblioteka Historyczna. Nr. 1. Ludzie wolni są braćmi. Obrazy, dokumenty, wspomnienia. W 150 rocznicę utworzenia Legionów Dąbrowskiego. Wybrał, objaśnił i wstępem poprzedził **Henryk Mościcki.** Kraków, M Kot, 1947; str. 126. — Nr. 2. Zarys dziejów marynarki polskiej. **Opracował Kazimierz Lepszy.** Tamże str. 83 i 1 nl.

Biblioteka Popularno - Naukowa. Seria Historyczna. **Jadwiga Karwasińska.** Proces polsko - krzyżacki w Warszawie przed sześciuset laty. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946; str. 31 i 1 nl. — zł. 25.

Biblioteka Wiedzy o Polsce. Tom I. **Zygmunt Wojciechowski.** Zygmunt Stary (1506 — 1548). Warszawa. S. Arct, 1946; str. 394 i 2 nl.— zł. 450.

LITERATURA

Biblioteka Arcydzieł Poezji i Prozy. Nr. 4. **Juliusz Słowacki.** Lilla Weneda. Tragedia w pięciu aktach. Tekst przygotował i objaśnił **Tadeusz Ulewicz.** Kraków, M Kot, 1946; str 125 i 3 nl. Nr. 5. **Juliusz Słowacki.** Wybór liryk i listów. Zestawił i opracował **Józef Szyrkowski.** Tamże; str. 92. — zł. 100. Nr. 10, 11, 12. **Dante Alighieri.** Boska Komedia. Przetłumaczyła **Alina Świderska.** Słowem wstępnym poprzedził **Konstanty Michalski.** I. Piekło. II. Czyściec. III. Raj. Tamże; I. str. 190 i 2 nl. II str. 184. III. str. 184.— zł. 620. Nr. 14. **Aleksander Fredro.** Zemsta. Komedia w czterech aktach, wierszem. Tekst przygotowała i opracowała **Mieczysława Romankówna.** Tamże; str. 119 i 1 nl. Nr. 36. **Sofokles.** Antygona. Przełożył i opracował **Mieczysław Brożek.** Tamże; str. 55 i 1 nl. — zł. 60.

Jerzy Szaniawski. Matka. Sztuka w jednym akcie. Warszawa. Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946; str. 15 i 1 nl. — 18 zł.

NAUKA O LITERATURZE

Biblioteka Muzeum Świętokrzyskiego w Kielcach. Seria Humanistyczna. Tom I. Poezja Powstania Kościuszkowskiego. Zebrał oraz zaopatrzył wstępem i objaśnieniami **Juliusz Nowak - Dłużewski.** Kielce, S. Arct, 1946; str. LVIII i 4 — i 147 i 5 nl.

MUZYKA

St. Świtalski. Nowy śpi... Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1947; str 32. — 50 zł.

SZTUKI PLASTYCZNE

Muzeum Narodowe w Warszawie. Francisco Goya y Lucientes „Caprichos". Cykl 80 rycin. Wystawa z okazji 200-lecia urodzin artysty. Warszawa, 1947; str. 2 nl. i 18. — Warszawa 1945 w rysunkach Tadeusza Kulisiewicza. Wystawa w Muzeum Narodowym w Warszawie. Warszawa, „Czytelnik", 1947; str. 14 i 2 nl.

POLITYKA

Vopros o 200.000 Jugoslavach v Avstriji. Slovenskaja Karintija i burgenlandskyje Horvaty. Belgrad, 1947; str. 16 i 40 knl. (mapy i wykresy).

NAUKI I ZAGADNIENIA SPOŁECZNE

Polska i świat współczesny. Podręcznik dla nauczyciela. Pod redakcją dr. **Józefa Sieradzkiego.** Zeszyt I. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych. 1947; str. 36. — 18 zł.

OŚWIATA. WYCHOWANIE

Ministerstwo Oświaty. Prace Biura Badań i Statystyki pod redakcją dr **Mariana Falskiego.** Pracownie naukowe szkół wyższych w Polsce. 1945/46. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych 1947; str. XXVIII i 218 i 2 nl.

K. D. Uszinskij. Izbrannyje proizwiedienija. Priłożenije k żurnału „Sowietskaja Piedagogika". Obszczije woprosy organizacji naczalnoj szkoły. Pod redakciej **W. J. Struminskogo.** Moskwa Akadiemija Piedagogiczeskich Nauk RSFRS 1946; str. 207 i 1 nl. — 9 rb.

NAUKI PRZYRODNICZE

Biblioteka Popularno - Naukowa. Seria Przyrodnicza. **Wacław Gajewski.** Symbioza. Warszawa, Państwowe Zakł. Wydawnictw Szkolnych. 1946; str. 52. — 40 zł.

PODRĘCZNIKI SZKOLNE.

A. M. Rusiecki, A. Zarzecki, Z. Chwiałkowski, W. Schayer. Arytmetyka z geometrią. V. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1947; str. 304. — 80 zł.

Józefa Rytlowa. Nauka pisania dla II klasy szkoły powszechnej. Ilustrował **Stanisław Czesław Chludziński.** Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1947; str. 78 i 2 nl. — 30 zł.

WYDAWNICTWA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

H. Augustynowicz - Ciecierska. Skrzydlate przyjaciółki. Ilustrował i okładkę projektował **J. Fara.** Kraków, M. Kot, 1947; str. 229 i 1 nl.

Jonathan Swift. Podróże Guliwera. Opracował na nowo **Witold Zechenter.** Ilustracje i okładkę wykonał **Jerzy Karolak,** Kraków, M. Kot, 1947; str. 141 i 1 nl. — zł. 200.

Polska i Świat Współczesny. Biblioteka Młodzieży. 59. **Maria Kuryluk.** Jędrek i Piotr. 3 ilustracje Rysunki w tekście wykonała **W. Mierzejewska.** Warszawa. Gebethner i Wolff, 1946; str. 79 i 1 nl.

Gustaw Morcinek. Ludzie są dobrzy. Powieść dla młodzieży. Ilustracje i okładka **Ewy Siedleckiej.** Warszawa. „Biblioteka Polska". 1946; str. 248.

Spółdzielnia Wydawnicza »Książka«

Artur Sandauer. — **Śmierć liberała**, str. 186, zł. 250.—.
(Sześć zwięzłych z wielką głębią napisanych opowiadań z czasów, kiedy człowiek odpowiadał nie za to co robił, lecz za to kim był. Problematyka etyki, godności ludzkiej i walorów istnienia znajduje w każdej z tych nowel wstrząsające rozwiązanie: Niemcy, Ukraińcy, Polacy, Żydzi — stłoczeni na skrawku ziemi, która w tych opowiadaniach nie ma nazwy, ale nikt nie ma wątpliwości, iż chodzi o Małopolskę w czasach okupacji — wszystkie postacie nakreślone choćby kilku rysami są prawdziwe, przekonywające, pełne prawdy psychologicznej).

Szkoła krytyków

20,5 : 18 : 2

Ten tajemniczy tytuł, to nie liczba kabalistyczna ani nie wynik zawodów sportowych. Jest to jedynie ujęty w cyfry rezultat ankiety na temat Akademii Literatury. Na czterdzieści dwie odpowiedzi dwadzieścia i pół padło za Akademią, osiemnaście przeciw, dwu uczestników uchyliło się od zajęcia stanowiska. Taki wynik nazywa się w sporcie bardzo nikłym zwycięstwem. W historii — pyrrhusowym.

Za Akademią Literatury wypowiedzieli się Brandys, Brzechwa, Flukowski, Hahn, Hertz, Iwaszkiewicz, Kleiner, Koźniewski, Kubacki, Makuszyński, Melcer, Minkiewicz (ze śmiechem)), Morcinek, Papée, Rudnicki, Rusinek, Sieradzki, Wyka, Zawieyski, Żółkiewski (z zastrzeżeniami). Jako pół punktu za Akademią liczę wypowiedź prof. Tadeusza Sinki.

Przeciwko: Borowy, St. Dobrowolski, Konrad Górski, Kott, Kuncewiczowa, Leśnodorski, Miłosz, Osmańczyk, Otwinowski, Parandowski, Podhorski-Okołów, Pruszyński, Sandauer, Grzymała-Siedlecki, Słobodnik, Staff, Szczepański, Wat, Ważyk.

Puste kartki: Peiper, Tuwim.

Nie po to przepisałem nazwiska, by szybciej zapełnić należną szkole krytyków szpaltę. Po to natomiast, by uzasadnić przed czytelnikiem kilka wniosków, narzucających się obserwatorowi tej ankiety. Pierwszy wniosek brzmi: i bądź tu człowieku mądry, wierz tzw. opinii, jeżeli opinia tak wybitnych głów i w tak, zdawałoby się, prostej sprawie przybiera równie paradoksalny wygląd.

Długo ustawiałem zwolenników i przeciwników Akademii Literatury w wymyślne schematy, które by pozwoliły odpowiedzieć, czemu to znakomity pisarz, posiadający wszelkie szanse na akademika literatury, jest tak wrogi owej instytucji, a czemu historyk, który nie marzy o laurach literackich, jest właśnie za Akademią. Różnych, powiadam, próbowałem kombinacyj — według wieku, według miast, według szans wejścia, nic nie wyszło. Nawet podział Kretschmera, ulepszony przez profesora Brzezickiego (patrz „Problemy"), który zdaniem tego uczonego wszystko tłumaczy, zawiódł, chociaż, kto wie? A może to rzeczywiście tajemnicza sprawka dużego procentu skirtotymno-fantastycznych asteników wśród pisarzy? Hm...

W każdym razie próbowałem naukowo, a nauka, jak wiadomo, polega na umiejętności klasyfikacji czyli szufladkowania.

Klasyfikacja według użytych argumentów również nie prowadzi daleko. Tych argumentów, tak prokuratorskich jak i obronnych, jest zaledwie kilka i w dosyć podobnym układzie przewijają się one u wszystkich uczestników. Nie należy się temu dziwić. Trudno wymyślić jakieś specjalne grzechy, podobnie jak trudno wynaleźć jakieś oryginalnie ujęte zasługi Akademii. Zresztą argumenty w takich sprawach bywają najczęściej typowymi — jak je zwał dziwaczny socjolog Vilfredo Pareto — derywacjami. Czyli uzasadnieniami pokrywającymi całkiem odmienne chęci lub niechęci, które istotnie rządzą wyborem oficjalnie użytego dowodu.

A przecież, chociaż zmartwiony od strony wiedzy, nie zmartwiłem się od innej strony. Raz nareszcie linie podziału pośród pisarzy wypadły całkiem inaczej, aniżeli wyglądają na codzień. Hertz, Brandys i Żółkiewski są za Akademią, Kotta i Ważyka gorszy jej miano. Nareszcie Sieradzki jest tego samego zdania co Zawieyski, a Grzymała-Siedlecki myśli podobnie jak Otwinowski. Nareszcie. Przynajmniej dla takiego widoku warto było tę ankietę urządzić.

Tak nikłe i tak pyrrhusowe zwycięstwo zwolenników Akademii praktycznie oznacza nierozegraną. I kto wie, czy nie zadecydują milczący. Chodzi o to, że z pozostałych przy życiu a przebywających w kraju akademików literatury dwóch jest za dalszym istnieniem Akademii — Kleiner i Makuszyński, jeden przeciw — Staff. Nie dowiedzieliśmy się, co myślą Nałkowska i Szaniawski.

Mam wrażenie, że w niedługim czasie dowiemy się tego również. Bo ankieta, chociaż uzasadnia nieufność do metod mechanicznie parlamentarnych nawet pośród intelektualistów, jeden skutek wywołać musi: oto trzeba zadecydować praktycznie, czy Akademia Literatury wznawia swoją działalność, czy prawnie się likwiduje. Stan obecny trwać nadal nie może. W jakiej formie statutowo-ministerialno-prawnej ma się to dokonać, nie nasza sprawa. Najlepiej będzie wiedział przedwojenny sekretarz Akademii Literatury Michał Rusinek, który ujawnił tak chętną dla tej instytucji pamięć urzędową, a swej sprawności organizacyjnej w dziedzinie kultury nie zaniedbał.

Dalszy żywot lub przejście Akademii Literatury do państwa cieni powinno się dokonać możliwie rychło. A wtedy dopiero ankietę na jej temat uznamy za definitywnie zamkniętą.

kjw

Wśród książek o szkole i dla szkoły

Romana Millerówna. O pracy nauczyciela. Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia". Podręczna Biblioteka Nauczyciela nr 3. Warszawa, 1946; str. 95.

Millerówna w swej małej, lecz pełnej treści książeczce, na pierwszym miejscu kładzie w rejestrze czynności nauczyciela wychowanie. I z naciskiem podkreśla, że ucząc i organizując pracę, nauczyciel równocześnie wychowuje, gdyż rozwija zainteresowania, przygotowuje do samokształcenia i pogłębia więź społeczną. Autorka skłonna jest przyjąć pogląd, że nauczanie jest tylko częścią wychowania, zdaje sobie jednak sprawę, że nauczyciel celowo i świadomie pracuje jedynie nad udoskonaleniem czynności związanych z nauczaniem, a czynności wychowawcze opiera w dużej mierze na spontanicznych reakcjach.

W książeczce omówione są również zadania szkoły powszechnej i wyniki pracy szkoły oraz nauczyciela, scharakteryzowane są prace młodego nauczyciela i określona rola rutyny w zawodzie nauczycielskim.

Książeczka napisana jest dla nauczyciela, jednak warto, by przeczytali ją rodzice, gdyż dużo w niej informacji o wychowaniu dzieci, opartych na materiale z obserwacji oraz wypowiedziach uczniów i absolwentów.

Ludwik Bandura. Szkoła uspołeczniona. Bydgoszcz, Spółdzielnia Księgarska „Nauka", 1947; str. 122 i 2 nl.

Hasła skrajnego indywidualizmu pedagogicznego przebrzmiały. Dziś nikt nie powtórzy za Ellen Key, iż „największa tajemnica wychowania polega na tym właśnie — żeby nie wychowywać". O społecznej stronie wychowania mówi się i pisze coraz częściej. Książka Bandury jest jednym z przykładów tego nastawienia.

Autor napisał swą pracę z myślą przede wszystkim o młodym nauczycielu. Przedstawił w szeregu barwnych obrazków różne typy szkoły. Nie pominął przeszłości: szkoła spartańska, ateńska, średniowieczna, parafialna w wieku XVII i w okresie Komisji Edukacyjnej, wreszcie totalistyczna. To jednak raczej na marginesie. Zrąb główny rozważań — to uwagi o roli społecznej szkoły na wsi i w mieście, oparte na analizie pracy rzeczywistej kilku szkół. Interesujące są wiadomości o szkole w Hołodach, która promieniowała na całą okolicę i oddziaływała bardzo głęboko na środowisko. Podobny wpływ wywierała szkoła wiejska w Turkowiczach, kierowana przez inżyniera Siudaka.

Teorii wychowania społecznego nie ma w książce Bandury, kto jednak szuka żywych wzorów, już niejednokrotnie wypróbowanych, znajdzie tu ich wiele.

Stanisław Nowaczyk

ROBOTNICZY PRZEGLĄD GOSPODARCZY

Ukazał się numer 4 — 1947 r.
poświęcony zagadnieniom
Rad Zakładowych

Treść:

Na 1 Maja.

K. Witaszewski — Znaczenie wyborów.

W. Sokorski — Społeczna funkcja rad zakładowych.

J. Kofman — Klasa robotnicza współgospodarzem kraju.

J. Licki — Prawo o radach zakładowych.

I. Epsztein — Ordynacja wyborcza rad zakładowych.

Z. Gross — Geneza rad zakładowych.

G. Bolesławski — U nas i gdzieindziej.

J. Mar — Akcja kulturalno-oświatowa w zakładach pracy.

S. Nachlik — Diagnoza demograficzna.

W. Kuszyk — Kryzys węglowy.

Przeglądy: — Na froncie odbudowy; S. Wyrobisz — Odbudowa Warszawy jako problem gospodarczy — Nowe Książki: Józef Feldman „Problem polsko-niemiecki w dziejach"; Ruch związkowy w Polsce: Współpraca związków zawodowych z ruchem spółdzielczym; Kilka uwag o pierwszym konkursie muzycznym KCZZ. Z życia związków zawodowych — Światowy ruch związkowy: Bułgarski ruch zawodowy Kronika — Przegląd Gospodarczy: Przedwiośnie 1947 r. Drugi rok radzieckiej pięciolatki powojennej Walka wokół nacjonalizacji przemysłu w Anglii. — Nowe Wydawnictwa — Fakty i dokumenty.

Cena zł. 30.—

Adres Redakcji i Administracji
Warszawa, Al. Przyjaciół 9
P.K.O. Nr. I-1055 Warszawa

Plotki, plotki . . .

Ostatnio bawiła w Krakowie delegacja dziennikarzy czeskich. Na herbatce u jednego z naszych literatów toczyła się rozmowa o egzystencjalizmie. Gałczyński rzucił znienacka definicję:

— Egzystencjalista to znudzony wariat.

— Nie — zaśmiał się Przyboś — raczej wariat z nudów.

— Wariat — co to znaczy? — pyta któryś z Czechów.

— Po czesku: „blazen" — wyjaśnia slawista Magr.

— No! — wykrzykuje z radością Gałczyński — nareszcie zrozumiałem, co miał na myśli mój ojczym Czech, który stale powtarzał: „Konstantine vy jste blazen!"

— Kimże wobec tego jest egzystencjalista? — zatroskał się krytycznie Wyka.

■

Dunikowski był w zażyłej przyjaźni z fotografem K. W czasie zakrapiania tej przyjaźni fotograf wyjął sztuczną szczękę, chcąc pokazać dołek w policzku, którym się szczycił jako fotogenicznym fragmentem swojego oblicza. Dunikowski porwał szczękę, wepchnął w glinę rzeźbiarską i miejsce zalepił. Na drugi dzień ani Dunikowski, ani fotograf nie mogli sobie przypomnieć, co się stało ze sztuczną szczęką.

Po tygodniu spotykam fotografa:

— Już pan, słyszę, nie szepleni, znalazł pan swoją szczękę?

— Tak, Dunikowski wymodelował ją w jednej z główek wawelskich, a ja mu pozowałem.

■

Peiper poprzedził swoje zebrane wiersze wstępem, w którym stwierdził, że nikt tak nie zna się na poezji jak on. Z głębi tej wiedzy zapewnił solennie czytelników, że jego utwory są wśród współczesnych najlepsze.

— Tak — wyćedził Witkacy — Peiper zna się najlepiej na poezji, a najgorzej na sobie.

■

Podobno w najbliższym czasie Stefan Żółkiewski ma poddać egzaminowi wszystkich wybitniejszych pisarzy i uczonych.

W Krakowie na Plantach widziano przepytujących się z poetyki: Przybosia i Otwinowskiego(?).

■

Po czternastu latach niewidzenia się Frank Harris spotkał się w Nicei z Bernardem Shaw, o którym miał później napisać bardzo niepochlebną monografię (nb. dokończoną przez wielkiego kpiarza, ale wydaną bez jego autoryzacji).

— Dobre mięso, dobra whisky, dobre wino — i to w nadmiarze — rzekł Frank Harris po parogodzinnej dyskusji nad Szekspirem. — A popatrzeć na pana: blady, prawie zupełnie łysy i chudy jak szyna kolejowa.

— Mój wygląd budzi zachwyt Europy — odrzekł Shaw. — Na kopule mej głowy nie prześwituje łysina, a moja smukłość jest zaletą, a nie wadą. A pan z zazdrości powtarza ludziom w kółko, że jestem niedokarmiony seksualnie!

— Nigdy tego nie mówiłem! — krzyknął Harris.

— Owszem, powiedział pan — podczas ostatniej zimy, na odczycie w Berlinie.

— Jeżeli powiedziałem, to tylko prawdę. Pan był niedokarmiony!

— Fałsz. Jeśli już o to chodzi, to jestem przekarmiony seksualnie.

Frank Harris spojrzał ze zdumieniem na Shawa.

— Pan był przekarmiony? — powtórzył. — Jakto, przecież pan sam opowiadał, że przybył pan do Londynu, mając lat dziewiętnaście i że pański pierwszy wyczyn miał miejsce, gdy liczył pan sobie lat dwadzieścia dziewięć! To jest dziesięć lat! U Szekspira trwałoby to dziesięć miesięcy, a gdyby to był Frank Harris albo inny jakiś młody szczeniak — to dałby sobie radę w ciągu dziesięciu dni lub dziesięciu godzin! Pan jako seksualnie przekarmiony — mój Boże!

— Ah! — westchnął G.B.S. — Tak, ale ani pan, ani on nie wgłębiałby się jak ja w Haendla, Mozarta i Michała Anioła, w Rafaela i grecką rzeźbę. Gdyby pański zmysł piękna był prawidłowo kształcony, nie byłby pan zdolny tknąć w tym wieku czegoś tak prozaicznego jak zwykła kobieta.

„W okresie owej dyskusji — opowiada dalej Frank Harris — ja miałem lat 72 i pół, a Bernard Shaw — 72. Bardzo dziwni wydają mi się dzisiaj ci starcy, roztrząsający z takim zapałem temat, któremu mogli okazywać zainteresowanie co najwyżej akademickie".

■

Dużo się obecnie narzeka na picie wódki, może nawet więcej, niż się pije. Ostatnio wmieszali się do tej sprawy także literaci, to znaczy do dyskusji nad alkoholem, bo do alkoholu wtrącają się od dawna. Niektórzy uważają te antypijacką propagandę za zręczne posunięcie reakcji, za próbę sił opozycji czy za mobilizację fideizmu i oczekują energicznej kontrakcji ze strony Polskiego Monopolu Spirytusowego. Istotnie wiele może dać do myślenia cienki, skromny tonik apologetów spirytualiów w porównaniu z gromobiciem abstynentów. Po prostu związki trzeźwości, jak wszystkie imprezy sektora inicjatywy prywatnej, wykazują większy rozmach niż przedsiębiorstwa państwowe, czyli w naszym wypadku Polski Monopol Spirytusowy.

Skoro już literaci na trzeźwo i na sucho do wódki się dobrali, powinni wobec alkoholu zająć stanowisko głębsze i bardziej metafizyczne niż przytaczanie statystyk zatruć, kradzieży, defraudacji, prostytucji, morderstw itp. ponurych historii. Niech zwrócą uwagę choć trochę na katartyczną rolę wódy, na psychoanalizę spirytusu! Jaką klapą psychicznego bezpieczeństwa jest alkohol! Jak wspaniały to środek higieny duszy! Dzięki niemu odprężają się od czasu do czasu ludzie, uwalniają od gniotących chomąt, a nawet czasem biorą na kieł i gryzą wędzidła.

Opowiadano mi, że niedawno jeden z przedstawicieli kierunku metafizyczno-profetycznego po którymś tam kieliszku zaczął ku przerażeniu swych katolickich przyjaciół głośno monologować w następujący sposób: „Ja mam pisarzy katolickich w ..... Żydzi mnie zawsze popierali. Co mi dali katolicy? Peperowcy mi dali nagrodę".

Spiritus flat ubi vult... **Nemo**

RUBRYKA Nr 47

W NAJBLIŻSZYCH DNIACH powracają do Polski: Antoni Konieczny, świetny felietonista, Artur Porcja-Skoczwiski, autor słynnej powieści „Listonosz dzwoni bez przerwy", oraz tancerka Euzebia Wynikło zwana popularnie „Żabuchną".

▼

W ŁODZI ZAWIĄZAŁ SIĘ Komitet Uczczenia przedwcześnie zgasłego liryka Józefa Franbolli. Puścizna po Franbollim składa się wprawdzie z jednego erotyku, ale poziom utworu prześciga wszystko, co zostało dotychczas osiągnięte w polskiej liryce miłosnej.

▼

LITERACKA AKADEMIA ZADOWOLONYCH Z SIEBIE powstała w Krakowie. Celem Akademii jest przestrzeganie czystości języka, wzajemna, acz dyskretna adoracja, szerzenie w masach zrozumienia dla poszanowania zasad pisowni, oraz prowadzenie spokojnego trybu życia w ramach istniejących ustaw.

▼

ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA i WOJCIECH NATANSON utworzyli sektę religijną tzw. „pikonoklastów". Nazwa sekty pikonoklastów (pikonoburców) pochodzi od marki znanego francuskiego alkoholu „Amère Picon".

▼

SATYRYK ARTUR MARIA SWINARSKI wstąpił do klasztoru.

▼

POECI DZIELĄ SIĘ na liryków i epików. Lirycy opisują swój świat wewnętrzny, co nikogo nic nie obchodzi, epicy świat zewnętrzny, który ich ani ziębi, ani parzy.

A jednak poezja jest artykułem pierwszej potrzeby i powinna być — z uwagi na małą podaż — sprzedawana na kartki w sklepach z ogonkami jak po tekstylia.

Czym bo okryjesz obywatelko, swoje zmarznięte serce?

▼

TYGODNIK „DZIŚ I JUTRO" zawiadamia swoich czytelników, że redaktor Jan Dobraczyński zmienił uczesanie.

▼

NIEFORTUNNY POMYSŁ przymusowego wprowadzenia czarnych cylindrów dla poetów lirycznych skończył się potwornym fiaskiem. Poeci odsyłają cylindry masowo. W ubiegłą niedzielę krakowski Oddział ZZLP przedefilował przez całe miasto, trzymając w ręku cylindry zmiętoszone naumyślnie i śpiewając „Kto się w opiekę".

▼

POMNIK WOJCIECHA NATANSONA według projektu rzeźbiarza A. Karnego, ufundowany przez Międzynarodową Ligę Antyalkoholową, stanie niebawem na Rynku Krakowskim. Na uroczystości odsłonięcia przemówienie wygłosi red. Jan Kamyczek, pienia (hymn „Drżyj, butelko!") wykona chór Zarządu Głównego ZZLP pod kierownictwem prof. Kazimierza Czachowskiego.

▼

TYGODNIK „ODRA" postanowił zmieniać format co tydzień.

▼

ZBRODNICZY NAPAD NA POWIEŚCIOPISARZA JANUSZA MEISSNERA dokonany przez „Awirowców" wstrząsnął całą kulturalną Polską. „Awirowcy" zabrali Meissnerowi ostatni rękopis powieści i po wpłaceniu zaliczki zbiegli w niewiadomym kierunku.

▼

PLAGIAT jest to reminiscencja świadoma.

Król Herod

„HITLERZY PRZYCHODZĄ I ODCHODZĄ..."

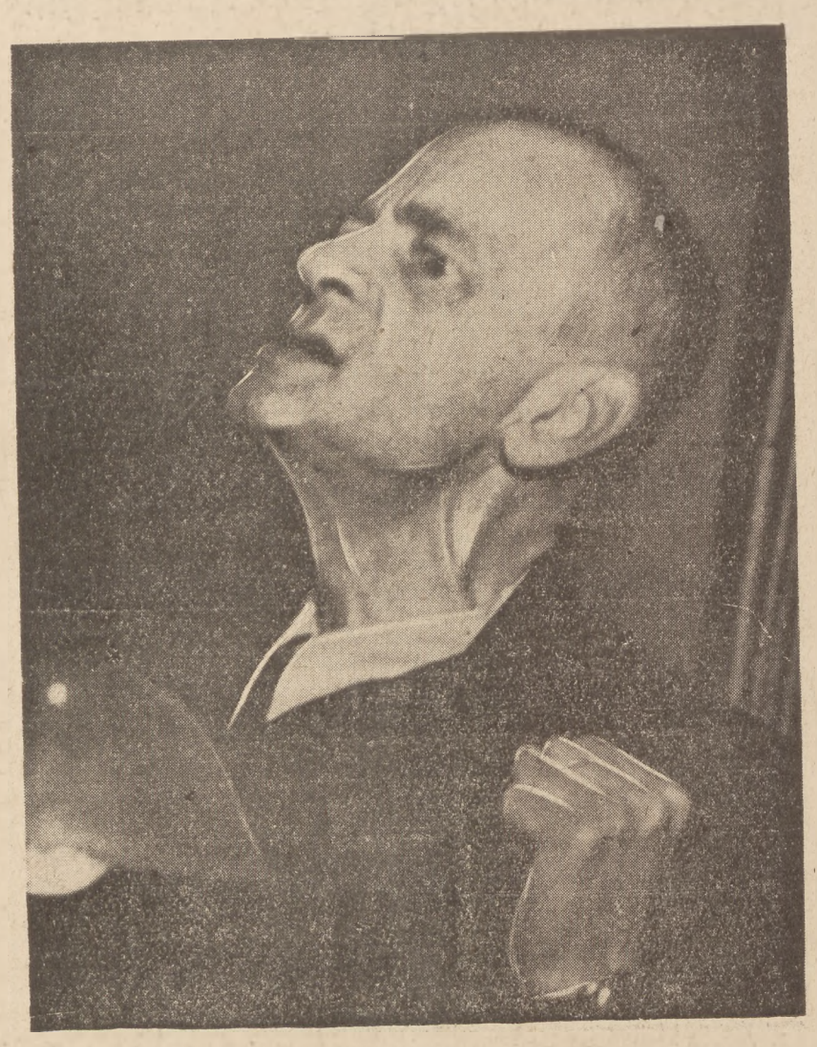

Marzec 1947 r.
Kurt Schuhmacher przemawia na zebraniu SPD w Berlinie

Z POŚMIERTNEJ TEKI KITTY KOWALSKIEJ

LINIJKI

(skomponowane w Bołtupajewie, na spacerze, po strasznej burzy, po zażyciu Pigułek z Zakonnikiem).

●

Burza minęła, burza minęła, minęła burza.

Och, dokonała strasznego dzieła i była duża.

●

Jeszcze się trzęsę i pióro ledwo w mej dłoni dzierżę.

Ach, piorun przecie trafił w niejedną biedną oberżę.

●

Lecz hej znów słońce, więc wołam: — Żywam *) jak te jaskółki!
I na spacerze w słońcu zażywam moje **) pigułki.

Rex Herodes

*) żywam — skrót — żywa jestem. Uw. Wyd.
**) „moje" nie oznacza wcale egoizmu, tylko kulturę zachodnią: „mes pillules". Uw. Wyd.

W poprzednim 17 (126) numerze „Odrodzenia" z dnia 27 kwietnia 1947 r.: **Piotr Borowy:** Bitwa o Berlin. — **Zbigniew Bieńkowski:** Po strajku prasy paryskiej. — **Tadeusz Breza:** Notatnik szwajcarski: Złota kula. — **Marian Jachimowicz:** Berło z kryształu. — **Julian Przyboś:** Lektura dla poetów. — **Adolf Rudnicki:** „Żołnierze" po latach. Przedmowa do drugiego wydania.— **Jerzy Andrzejewski:** Zaraz po wojnie. Powieść (13). **Adam Ważyk:** Majak estetyki. — Kronika ilustrowana. — Kronika francuska. — **Juliusz Żuławski:** List z Łodzi. — Korespondencja **(ZZLP Oddział Wiejski).** — **Krystyna Kuliczkowska:** Małe dzieci lubią duże książki. — **Kazimierz Olszewski:** Apologia Śląska. — Tydzień bibliograficzny. — Kronika radziecka. — **Jerzy Kuryluk:** Kronika muzyczna. — Z teki karykatur Zbigniewa Pronaszki. — **Wacław Kubacki:** Ciekawostki literackie. — **Artur M. Swinarski:** Refleksje i rekolekcje. — **Nemo:** Plotki, plotki... — Camera obscura. — Na marginesie dyskusji nad realizmem. — 16 ilustracji. — 8 stron.

NA MARGINESIE DYSKUSJI NAD REALIZMEM

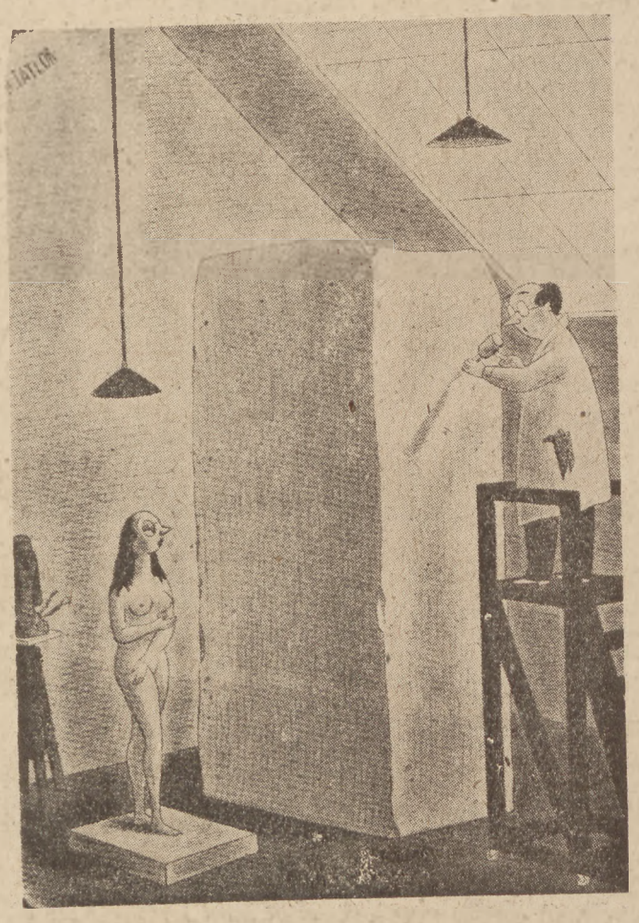

— Uśmiechnij się!

„New Yorker"

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ.

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 14,** dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć,** najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.,** którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę (zł. 1.000) otrzymał w ubiegłym tygodniu ob. J. ZELIGER w Otwocku, Reymonta 51, Sanatorium, za nadesłaną pocztówkę z Frydlantu. Sumę powyższą, na życzenie nagrodzonego, przekazaliśmy Funduszowi Pomocy Powodzianom.

RULE, BRITANNIA!

Leży przed nami karta pocztowa, wysłana z Frydlantu (powiat Wałbrzych, Dolny Śląsk, Rzeczpospolita Polska) dnia 14 lutego r. 1947, a doręczona adresatowi w Otwocku (powiat warszawski, Rzeczpospolita Polska) dnia 12 kwietnia tegoż (Bogu dzięki!) roku. Dwa miesiące wędrowała, ale warto było: podróż naszej pocztówki zaliczyć można do podróży historycznych. Oto pieczątka, jaka na niej figuruje:

Military Censorship.
18909.
Civil Mail 8.

A oni o „siedemnastej republice"!...

„KIEDY STOSUNKI SIĘ NORMUJĄ"...

Dyrekcja Szpitala Ośrodka Zdrowia Oddz. Polskiego Czerwonego Krzyża otrzymała następujący list:

Po wojnie daje się zauważyć brak kaftanów bezpieczeństwa wynikający z tego, że okupanci niszczyli i mordowali chorych umysłowo, a szpitale i zakłady dla umysłowo chorych zamykali i zamieniali na inne cele.

Dzisiaj, kiedy stosunki się normują i zakłady się otwierają, zachodzi potrzeba zaopatrzenia się w kaftany bezpieczeństwa. Nie tylko szpitale i zakłady dla umysłowo chorych potrzebują kaftany bezp. ale Zarządy Miejskie, Ośrodki Zdrowia, pogotowia ratunkowe w wypadkach, oraz przy transporcie chorych do zakładów są niezastąpione i koniecznie potrzebne. Kaftany sporządzano pojedynczo są droższe i ich forma nie zawsze jest taka jaka powinna być.

Polecam kaftany z trwałego materiału, fachowo wykonane po cenie zł. 2.200. — wraz z opakowaniem za zaliczeniem pocztowym.

W oczekiwaniu cennych zamówień pozostaję Gaj Stefan, Spec. kaftan. bezp. ecz.

SAP-IENTI SAT

Socjalistyczna Agencja Prasowa rozesłała pismom wiadomość, że

Chluba i dumą Gdańska jest obecnie Biblioteka Miejska, licząca 250.000 tomów książek, około 2.500 rękopisów i z górą 300 inkunabłów.

Tytuł tej wzmianki

Cenne bibeloty w Bibliotece Gdańskiej

Nie „inkunable", obywatele Sapacze, ale inkunabuły. Por. fascykuły, nie fascykle; Szamotuły, nie Szamotle; gaduły, nie gadle. I nie „bibeloty", bo to nie bibelotyka.

BYLE HANDEL SZEDŁ!

Firma „Stella" opublikowała druczek reklamowy, w którym czytamy.

A żeś przetrwał okupację,
Krematoria i obozy,
To już widzisz jest znak Boży,
By pracować w pocie czoła,
Żeby sił ci nie zabrakło
W odbudowie ze zgliszcz kraju.
„Stella" kawę pij codziennie,
Kawę, która zdrowie daje.

Panowie kupcy! Może by się jednak obeszło bez krematoriów, obozów i zgliszcz kraju przy robieniu reklamy temu kawsku?

„W ZWIĄZKU Z POWODZIĄ"!!!

„Gazeta Ludowa" (nr 91) zamieściła list następujący:

„W związku z powodzią, jaka nawiedziła pewne połacie Polski, niniejszym pozwalam sobie postawić poniższą propozycję:

Mogę przyjąć na dowolny czas jedną osobę płci żeńskiej w wieku od 14 — 18-tu lat lub od 30 do 50-ciu. Osobę tę bym zatrudnił w domu przy gospodarstwie lub przy pracach w zakładzie fotograficznym, za co otrzymałaby ta osoba całkowite utrzymanie, wyżywienie i in plus wynagrodzenie pieniężne".

List ten poprzedziła „Gazeta Ludowa" nagłówkiem:

Praca dla ofiary powodzi.
Piękna inicjatywa.

Inicjatywa — owszem. Ale dlaczego piękna, zachwycony obywatelu dziennikarzu? Facet po prostu szuka pracownicy domowej, na warunkach zupełnie normalnych i powszechnie przyjętych. A że ją z wody wyciąga, że obiecuje „utrzymanie i wyżywienie"(?) i że, jak widać, żywi awersję do kobiet między 18 a 30 rokiem życia — to jego prywatne bziki.

Za dawnych, dobrych czasów załatwiano takie sprawy ogłoszeniem. „Potrzebna służąca do wszystkiego".

NON CAPISCO.

Ogłoszenie w „Życiu Warszawy" (4.IV):

Włoch szuka osobę po francusku w celu uczenia polskiego.

Możemy zaproponować zrazy po polsku lub karpie po grecku. Ale polskiego nie będziemy się u miłego italiana uczyć.

„GŁOSIE ANGLII", ODEZWIJ SIĘ!

„Głos Anglii" (nr 14) zamieścił artykuł Normana Nicholsona „Powieści Galsworty'ego", w którym czytamy m. i.:

Dalszy tok opowiadania podjęty zostaje w r. 1920. W „Białej Małpie" (1924) i „Srebrnej łyżce" (1926) Galsworthy opowiada o następnym pokoleniu Forsytów, o Fleur i Jonie, synu Ireny. Młodzi zakochują się w sobie, żenią się, są sobie niewierni i umierają.

W związku z tym passusem (faux passusem raczej), ob. Cecylia Kłoskowska z Piotrkowa przysyła nam następujące uwagi:

„Jak pamiętamy młodzi zakochują się co prawda w sobie, ale bynajmniej się nie żenią i nie umierają; Jon poślubia młodą Amerykankę, Fleur—Michała Mont: tak przynajmniej przedstawiają się sprawy w polskim tłumaczeniu „Sagi". Coś jest zatem nie w porządku. A że, jak sądzimy, krytyk angielski jest zapewne dobrze poinformowany o rzeczach, o których pisał, rodzi się w nas niepokojące podejrzenie: Czyżby nasi tłumacze, za pośrednictwem których większość z nas dopiero zyskuje dostęp do arcydzieł literatury angielskiej, pozwolili sobie na fałszerstwo? Czyż następne numery „Głosu Anglii" nie odkryją przed nami jakichś nowych rewelacyjnych szczegółów, dotyczących losu znanych nam bohaterów? Czy nie dowiemy się, wbrew temu, co sądziliśmy dotąd, że Romeo i Julia szczęśliwie poślubieni, żyli zgodnie długie lata płodząc i hodując liczne potomstwo, że Don Juan pozostał zawsze wiernym kochankiem donny Elwiry, zaś Candida porzuciła w ostateczności męża dla młodego poety, wobec czego pastor popełnił samobójstwo z rozpaczy?".

PRZESADNE UPRAWNIENIA.

Ogłoszenia w świątecznym numerze „Trybuny Robotniczej":

Ostrzegam eks żonę (.....) oraz całą rodzinę przed dalszem dokuczaniem mi, intrygami i przeszkadzaniu w widywaniu się z dzieckiem. Po sprawie rozwodowej z dnia 31.3.1946 r. przyznającą mi prawo stosunków z dzieckiem, prawo wpływu na jego wychowanie. Ze złości wysłała mi otwartą pocztówkę, którą czytali pracownicy D. Z. P. W. Treść była ohydną prowokacją i poderwaniem mego autorytetu itd.

Żona i rodzina mają rację. Nie dobre rzeczy panu przyznano.

MODERATO

„Walka Młodych" (nr. 15) drukuje nuty i tekst pięknej i sławnej pieśni rewolucyjnej „Międzynarodówka" („Wyklęty powstań, ludu ziemi"...). Jako tempo wykonania utworu wskazane jest

Umiarkowanie.

A szkoda...

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK — Adres redakcji: Warszawa, Daszyńskiego 14, tel. 86693 — Redaktor przyjmuje od godziny 13 do 14. — Adres administracji: Warszawa, Daszyńskiego 16, pokój nr 16, tel. 85 794. Konto w PKO nr 1-473
Prenumerata miesięczna 60 zł., kwartalna 180 zł. B-30090 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"
Drukarnia Nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5.